Nr. 50. Warszawa, dnia 4 (16) Grudnia 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Rok nadchodzący będzie dwudziestym w życiu **Prawdy**. *Tak poważny przeciąg czasu uwalnia nas od obowiązku i potrzeby szczegółowego zaznajamiania jej czytelników z zasadami, dążeniami i celami redakcyi. Tytuł naszego pisma jest już dziś powszechnie zrozumiałym wyrazem określonego programu, który przez lat dziewiętnaście rozwinął się i uwydatnił w głównych swych zarysach tysiącami artykułów i utworów.* **Prawda** *— to znaczy: ścisłość i niezależność badania w nauce, sprawiedliwość dla wszystkich, czystość charakterów i energia działania w życiu, szlachetne piękno w sztuce, to znaczy humanizm w najobszerniejszem i najwznioślejszem rozumieniu tego słowa, to znaczy postęp wiedzy, swoboda przekonań, szlachectwo pracy i dostojności moralnej.*

Pragnących towarzyszyć nam dalej z zaufaniem i życzliwością prosimy o wczesne zapisywanie się na listę prenumeraty, gdyż abonentom spóźnionym nie zawsze możemy dostarczyć numerów **Prawdy**, *której nakład zastosowany bywa do przedpłaty terminowej.*

Jak lat poprzednich, nowi prenumeratorzy mogą i obecnie nabyć wydane w osobnych książkach dawne dodatki za połowę ceny według katalogu umieszczonego na ostatniej stronicy.

POLITYKA.

Wojna w Afryce.

V.

Nowa doba wojny, która zaświtała Anglikom po nadejściu posiłków z Europy, zasępiła się prędzej, niż przewidywać pozwalało największe nawet męztwo i szczęście Boerów — tak, *szczęście*, bo wyraz ten równie trudno z mowy ludzkiej wygnać w wieku rozumu i niewiary, jak niepodobna było bez niego się obyć w wiekach przesądów i ślepych, niewyrozumowanych porywów. I męztwo i szczęście dochowują Boerom wiary; a skuteczność ich wzmacnia się niedołęztwem, lekkomyślnością i — powiedzmy prawdę — miękością bojową Anglików. „Klęska,“ to piętno wyciskane na czynach bojowych angielskich w dobie poprzedniej, nie przestaje szpecić buletynów z ustalonymi już kształtami wypadków — i w dobie obecnej. Nie znać tych dziesiątków tysięcy bojowników nazwożonych do Durbanu, nie znać tych bateryj, tych parków, tych koni, tych pociągów, których przybycie samo miało wystarczyć do rozgromienia opornej garstki krzywdzicieli praw człowieczych w ogólności, a angielskich w szczególności. Wszystko jest, a powodzenia niema. I geniusz wojskowy, wcielony w Bullera, od miesiąca już oddycha powietrzem afrykańskiem, zaczął już nawet wąchać proch boerski — a powodzenia jak nie było, tak niema.

Przeciwnie, spadają klęski — spadają nawet w wygranych, których lepiej byłoby wcale nie odnosić. Na wschodnim, głównym teatrze wojennym, gdzie Jouberta zastąpił Schalk Burger, odbywa się jeszcze ustawianie sił, wytwarzanie frontów, wyciąganie linij operacyjnych, zanim rozpoczną się właściwe działania bojowe: tu przeto ponura Hekate nie była jeszcze powołaną do żniwa, ani rozum też, ani męztwo bojowe Anglików nie miały sposobności do nowego popisu, nie mogły się więc i źle spisać. Na wschodzie nawet bieg czynności strategicznych do d. 10 b. m był o tyle pomyślnym dla Anglików, że Boerowie zostawili im zupełnie wolny południowy brzeg Tugeli, cofnąwszy się zupełnie i z Estcourtu i z Weenen i z Frere za rzekę. Przewidywana bitwa, którą wstępnym bojem sami Boerzy wydać mieli, zapewne skutkiem słabości ich sił rozegra się o wiele później i o wiele dalej ku północy, na lewym już brzegu Tugeli, gdy Anglicy napadną mocno obwarowane na tym brzegu Colenso, dokąd dzielny lud ściągnął wszystkie swe siły z południowe-

go Natalu, ustępuje przed przemagającemi siłami wroga. Oczywiście, napadu tego nie wykonają Anglicy od czoła: niezawodnie na prawo i na lewo przedostaną się za rzekę i z dwóch stron dopiero natrą, w ostatecznej rozprawie dopomagając bokom od frontu artylerya — jeśli Boerowie zaskoczenia z boków nie uprzedzą opuszczeniem Colenso i cofnięciem się na północ ku owemu historycznemu klinowi Natalu.

Chmury niepowodzeń zebrały się nad Anglikami na zachodniej, a ściśle: zachodnio-południowej, widowni wojennej. Posiłki posłużyły im tylko do lekkomyślnych pochodów i hańbiących sławę oręża angielskiego rozpraw. Owo powodzenie Methuena w trzech bitwach, od Belmontu, gdzie rzeczywiście Boerowie byli pobici, zakończyło się nierozstrzygniętą bitwą nad samą rzeką Modder w końcu listopada, zdaje się, że 29 t. m. Dzielność Boerów sprawiła, że wprawdzie wydali pobojowisko wrogom, ale wcale nie rozbici, przystanęli w pobliżu, okopali się, wzmocnili, ustalili czucie swe strategiczne, a może i taktyczne, z drugim, północnym brzegiem rzeki— i ostatecznie przytrzymali zwycięzcę osłabionego niezmiernie w boju listopadowym, który Methuen jednym z najkrwawszych w bieżącem stuleciu nazwał. Zanim po tem zwycięztwie swojem wytchnął, upłynęło dni dziesięć: dopiero w niedzielę ubiegłą napadł, ale bardzo nieszczęśliwie; przyznaje się, że nic nie zrobił a poniósł straty znaczne, ciężkie — zwłaszcza w ukochanej królowej Wiktoryi brygadzie Highlanderów szkockich, wojsku wyborowem.

Gorszą o wiele była dla Anglików pod wodzą Gatacre'a noc z soboty na niedzielę — jeżeli w dacie buletynu niema bałamuctwa. Generał ten szedł z Przylądka na północo-zachód, równie jak poprzednio Methuen, na odsiecz Kimberleyu. Nie znał sił, nie znał pozycyi, nie znał okolicy: dał się wprowadzić w zasadzkę i haniebnej doznał klęski, bo mu republikanie orańscy zabrali sześciuset ludzi do niewoli, a niedorzeczny jego szturm, nieszczęsny odwrót wydarły mu zapewne jakąś setkę z szeregów. Teraz tylko czekać na depeszę o zupełnem rozbiciu, może nawet wybiciu co do nogi. Jeżeli French, z którym Gatacre trzymał się razem jeszcze w krainie Przylądka, nie zdoła go wesprzeć, jeżeli obaj nie zedzierzgną strategicznego węzła z Methuenem, cała ta wyprawa przeciw Orańczykom Cronjego może być w najlepszym wypadku zmarnowaną. W każdy razie Boerzy zyskają czas do zdobycia Kimberleyu głodem, chorobami, morem, jeśli nie orężem. I na wschodniej widowni również niezbędne przygotowania dają czas Ladysmithowi do poddania się Boerom.

Cokolwiek się stanie, Anglia już dotychczas ukazała się światu jako kolos na glinianych nogach. Przetworzenie się jej w państwo militarne jest koniecznością; ale militaryzm ją rozsadzi.

CO SIĘ W AUSTRYI ODBYWA?

Wiedeń, 11 grudnia

Co się dzieje w Austryi?—o tem czytacie w gazetach. Pełno tam tych nowin. Godzą się i nie mogą się pogodzić; gabinety się zmieniają; ministrowie się luzują. Syzyf toczy kamień bezustannie. Projektowicze tworzą plany: jedną ustawę językową ma już w tece swojej Madejski, drugą wygotował p. Biliński. Ale cóż po projektach, kiedy ich nikt przyjąć nie chce? Po Badenim i Thunie, którzy głosili programy swoje otwarcie i jawnie, nastał Clary, który tylko szepcze w poufnych pogadankach. Złośliwi opowiadają, że w pogadankach tych „dostojny mówca" każdorazowego interlokutora swego wprawia w zachwyt: bo Niemcom powiada, że zgniecie Czechów, a Czechom — że zgniecie Niemców. O prawdziwych zamiarach jego trudno się tedy dowiedzieć, bo w parlamencie — milczy. To wszystko się *dzieje* w Austryi i o tem pełne są gazety. Ale co się *odbywa* w Austryi, o tem ani ministrowie nie wiedzą, ani gazety piszą, o tem nikomu się nie śni ani w parlamencie, ani po za nim: niechże więc mi wolno będzie o tem poczynić kilka uwag.

W Austryi odbywa się proces socyalno-dziejowy, który zawsze i wszędzie rozwija się między różnorodnymi żywiołami społecznymi pojedynczych krajów. Te kraje bowiem, to naturalne prowincye geograficzne możnaby sobie wyobrazić jakby odrębne działy skorupy ziemskiej, jakby osobne doły, w które wlana jest różnorodna ludność. W nich mieszanina etniczna wre i kipi — skutkiem zetknięcia się sprzecznych pierwiastków, podobnie jak w dole, w którym lasuje się wapno. Nasi politycy stoją nad brzegiem tych dołów, gapią się na te wary i krzyczą: Rety, rety! Żeby też raz był spokój! — Ale co to wary znaczą, tego głowy ich, zdaje się, nie pojmują wcale. Są one zaś koniecznym procesem naturalnym i trwają póty, póki z różnorodnych żywiołów w każdym z tych geograficznych działów nie wytworzy się jednolita masa. Istnieje bowiem stałe i niezmienne prawo, którego mocą mieszaniny etniczne w każdym z takich basenów terytoryalnych muszą się zastosować jednolicie do naturalnego podścieliska, na którem odbywa się proces amalgamacyjny. A jasna rzecz, że ów stop musi przybrać barwę najliczniejszego i najpierwotniejszego żywiołu w każdym z „krajów," na które powierzchnia ziemi naszej jest pokrajana. Jest to taki sam proces teluryczno-etniczny, jak obieg kuli ziemskiej około słońca. Takich procesów nie wstrzyma żaden „gabinet" — ani koalicyjny, ani urzędniczy, ani feodalny, ani mieszczański, ani nawet socyalno-demokratyczny. Ponieważ te „różnorodności" w każdym z „krajów," przedewszystkiem występują jako „różnojęzyczności," więc oczywista, że te mieszaniny dopóty wrą i kipią, póki z nich nie zgotuje się jednojęzyczność. Temu nie da rady żaden Clary, czy Nie-Clary. Odbywał się ten proces w pojedynczych krajach Austryi bez przerwy, czy w „gabinecie" siedzieli ministrowie z lewicy, czy z prawicy, czy ze środka. Co tam się dzieje na górze, w „miarodajnych sferach," w klubach parlamentarnych, w „wysokiej izbie," to dla procesu teluryczno-etnicznego jest zupełnie obojętne. Skoro przejdzie sto lub

---

Jan Madeline.

OSTATNI KAIN.

NOWELA.

(Dokończenie).

III.

Byli prawdziwymi braćmi. Nigdy, chyba może w epoce pasterzy biblijnych, których łagodne owieczki pasły się śród blasku gwiazd, braterskość ludzka nie była tak czystą. Uczucia ich powróciły do świeżych źródeł ludzkości. Była to młodość pierwotna, ogród duchowy, gdzie stykały się pierwsze stworzenia boskie, zanim tłumy i wieki skalały ich bratnie dusze i oddaliły serca. Był to świt. Zdało się im, że to świt istotnie, że z jednego z ich żeber wyjdzie nowa kobieta, płodna matka ras, które się z nich zrodzą i że ich potężne złączenie da początek innemu światu, prowadząc go ku przeznaczeniu nowemu a promiennemu.

Żyli tak przez dziesięć dni i dziesięć nocy w pogodnem oczekiwaniu cudu. Tulili się jeden do drugiego, ogrzewali się wzajemnie. Wieczorem kładli się tuż przy sobie, i jeden czuwał troskliwie nad snem drugiego, nie wiedząc, który będzie wybrany. Łączyli radość swoją i nędzę. Mówili: „Co moje, to twoje."

Lecz stopniowo cierpienia powróciły z okrucieństwem. Jeden zapytał: Czy ci nie zimno, bracie? Drugi: Czyś nie głodny, bracie? Zaczęli szukać pożywienia. Błąkali się długo. Wreszcie spostrzegli biedne zwierzę, które się wałęsało śród mroku. Pomknęli w pogoń za niem i obaj rzucili się nań jednocześnie.

— To ja je schwytałem — rzekł jeden.

— To ja je schwytałem — rzekł drugi.

I między tymi dwoma ludźmi ostatnimi rozpoczęła się na nowo walka o byt.

IV.

Toczyła się w drobnych szczegółach, w zakątkach istnienia, gdzie spotykali się co chwila. A przecież mieli dość miejsca, aby się poruszać, nie ocierając się o siebie i rozszerzyć pole wysiłków, nie przeszkadzając sobie wzajemnie. Mieli na dwóch powierzchnię świata. Ale nie chcieli zostać ponownie samotnikami, a nadto siedliskiem walki nie była ziemia. Walka istniała w ich duszach, złożona tam, jako spuścizna po wiekach odziedziczona.

I w istocie między tymi dwoma ludźmi przesunęła się cała ludzkość, od czystego świata, ogrodu braterskiego do złych fermentów, które je splugawiły, do mętów, które ją zatruły. Następujące po sobie dusze umarłych wieków, od duszy pasterzy biblijnych do duszy tłumów ziejących nienawiścią, zamieszkały gromadnie w ich duszy końcowej i odżyły w niej po raz ostatni.

Zrazu wyrzucali sobie ilość części, jakie im przypadły w udziale i padały między nimi ostre wyrazy. Niebawem zazdrość ich przestała zadawalać się staczaniem kamieni słów i wzmogła się w nich żądza pokrzywdzenia drugiego na korzyść własną. Uciekli się do podstępu, a między ich ustami powstało kłamstwo. Wówczas to objawiły się w nich cechy rasy obłudnych łupieżców, grabieżców, fałszery, obdzieraczy trupów, nieprzeliczonych tłumów, które niegdyś szły za armiami. A serca ich przepełniały się zawiścią i urazą.

Dla każdego z nich towarzysz nie był już: Nim. Stał się: Tamtym. Stanął wrogi mur, granica, powstały odgraniczenia społeczne.

Pewnego razu Telos, chcąc się ułożyć do snu w swym zwykłym zakątku, zastał Tamtego, który go wyprzedził i zajął jego miejsce. Odtąd niechęć ich poczęła się objawiać brutalniej. Z oczu tryskała stal gróźb. Porywcze ręce stawiały opór.

Była to godzina najścia barbarzyńskiego, ludzi rudowłosych, sprawców krwawych rzezi, mordujących się wzajemnie nad dymiącemi zwłokami zwyciężonych. Wojna odżyła. Wszczęła się walka zwierzęca, walka o strawę. Rzucali się jednocześnie na krople odkrytych wód, na kawałki drgającego ciała, na schroniska,

dwieście lat, każdy z tych krajów będzie jednojęzyczny, chyba że ludność zostanie *wskroś* dwujęzyczną, w co jednak trudniej uwierzyć. To się odbyć musi z taką samą koniecznością, z jaką np. ujścia rzek coraz więcej się zamulają. Jaki zatem będzie koniec tych procesów telluryczno-etnicznych w pojedynczych krajach, nie trudno przepowiedzieć ze stanowiska socyologii. Trzeba tylko patrzeć na *grunt* ludnościowy tych krajów, na ich podwaliny społeczne. Jaki ten grunt, jakie te podwaliny— taka kiedyś będzie cała *treść* ludnościowa. A więc gdzie podwaliny są czeskie, tam cała zawartość ludnościowa będzie czeska, gdzie słowiańskie — tam będzie słowiańskie, gdzie niemieckie — tam będzie niemiecka. Ale zawsze jednolitości socyalne wytworzą się w „krajach“ rzeczywistych, nie sztucznych, tj. w krajach *naturalnych*, a nie w prowincyach *administracyjnych*.

Nim to jednak nastąpi — a takie procesy odbywają się powoli— dużo jeszcze gabinetów popłynie do morza, to znaczy, dużo jeszcze ekscelencyj zawinie do spokojnych portów emerytalnych. Nawiasem powiedziawszy, możnaby sobie tych licznych emerytur oszczędzić, gdyby np. jednemu ministrowi kazać po kolei scharakteryzować się i przebrać dziś za feodała, jutro za demokratę, to znowu za magnata galicyjskiego, potem znowu za centrala, federalistę itd. Możnaby mu nawet dać podwójną pensyę — oszczędzonoby jednak dwie! A rzecz zostałaby się ta sama: bo ten proces, który się w Austryi *odbywa*, nie pyta o to, co się w niej *dzieje* — a najmniej o to, co się dzieje w tych sferach parlamentarnych i ministeryalnych. Niech p. Kniaziołucki pomyśli o takiej reformie ministeryalnej: mógłby znacznie ulżyć budżetowi austryackiemu. —*ski*.

Tydzień polityczny. Zmarł d. 4 b. m. Franciszek Smolka. Pochowany d. 6 b. m. we Lwowie.

Klęski angielskie na zachodzie ośmieliły Boerów Przylądka do czynnego wystąpienia. Powstania formalnego jeszcze nie zrobili, ale tłumnie już płyną pod wolne narodowe sztandary. Liczby wszakże od 10—15 tysięcy tych ochotników z Przylądka należy przyjmować z niedowierzaniem.

Mocarstwa, mianowicie Rosya, Niemcy, Francya, Stany Zjedn., Holandya — wysyłają pełnomocników do obozów boerskich. Europa ma teraz chwilę stosowną do nasłania dyplomacyi swej na Anglią i zapewnienia Boerom Transwalu i Oranii niepodległości, którą nawet ordynarny wilczy interes narzuca: przyciąć Anglii pazurów, toć przecież nie idealizm. Jej niemoc militarna zachęca nawet, wręcz wyzywa, nietylko do dyplomatycznego nacisku, ale nawet do poważniejszych, wojną już pachnących natrysków.

D. 11 b. m. sejm niemiecki otrzymał już od kanclerza Hohenlohego i ministra sekretarza spraw zagr. Bülowa — wiązankę myśli rządów związkowych, za które konstytucya sama schować się rozkazała cesarzowi Wilhelmowi — o konieczności pomnożenia floty. Myśli, przeplatane liczbami, zapowiadają bliskie wniesienie projektu i nową hodowlę militaryzmu — na morze.

W Austro - Węgrzech ugoda zawodzi nowe tańce wśród mieczów. Teraz zbawcą jest p. Szell, prezes węgierski. Przyrzekł on uchwalenie przez delegacye budżetu wspólnego na trzy miesiące, a na 28 grudnia daje termin do uchwalenia kwoty i rozdziału podatków spożywczych; nie wiadomo, czy przystaje na § 14; jeżeli tak, to p. Clary musiałby lada dzień ustąpić, bo Izba deputowanych nie zostawia nadziei uchwały. Czesi teraz prowadzą w niej „obstrukcyę“ — nawet w komisyi budżetowej.

ŻYCIE SPOŁECZNE

NAUCZYCIELE.

Dotychczas najmniej o ich bycie mówiono. Najmniej oni sami kołatali o polepszenie warunków istnienia swego, pomimo, że od nich społeczeństwo wymaga i oczekuje bardzo wiele, pomimo że oni budują nieustannie te gmachy oszklone, przez które młodzież ogląda świat szeroki, słonecznymi promieniami oblany. Gdy się wszczęła, już nie wiem po raz który, w ostatnich czasach sprawa przeciążenia pracą uczniów, kwestya wadliwych programów, systemów i wykładów, zwrócono uwagę powszechną na nauczycieli, ale tylko że względu na ich wady, tj. brak właściwego uzdolnienia, sumienności i zrozumienia zadań. Pominięto jednak główne źródło tych wad: przepracowanie nauczycieli i liche ich wynagrodzenie. Zapomniano, czy też nie chciano o tem pamiętać, że pedagog najzdolniejszy, najenergiczniejszy, najświatlejszy, a nawet utalentowany w swoim zakresie, wobec warunków pracy staje się w końcu maszyną, przesłuchującą uczniów i zadającą im lekcye.

Patrzyliśmy na takie przykłady niejednokrotnie własnemi oczyma. Człowiek młody, pełen zapału i poświęcenia, oddający się zawodowi z prawdziwego powołania, skory do poświęceń, do ofiar z pierwszych potrzeb swego bytu, powoli czuje, iż skrzydła mu się łamią, energia zanika, uwaga mgłą się zasnuwa. Zrazu wykłada z zapałem, bada uważnie uzdolnienie, charakter, temperament, stopień rozwoju umysłowego ucznia, stosuje do każdego osobną metodę, ażeby mu ułatwić zdobycie wiedzy; posługuje się na pozór niewyczerpaną krynicą cierpliwości, ożywia i oplastycznia swój wykład, przelewa uczniom własny zapał. Ale oto zaczyna doznawać omdlenia i zniechęcenia. Rosną obowiązki i troski. Nie wzrasta tylko płaca za tę mozolną i zaszczytną pracę. Musi więc szukać zarobku po za szkołą. Daje lekcye prywatne, lub zajmuje się czem innem do późnej nocy; przychodzi nazajutrz do szkoły znużony, wyczerpany. Obiecał uczniom wykład barwny w dalszym ciągu przedmiotu; ale nie może, siły odmawiają mu posłuszeństwa. Zadaje więc powtórzenie, obiecując sobie nowy wykład na przyszłą lekcyę. Próbuje wywiązać się z obietnicy przed własnem sumieniem i nie może. Zadaje lekcyę bez wyjaśnień sucho, ściśle według podręcznika rutynicznego. Wysłuchuje uczniów automatycznie, staje się opryskliwym, przykrym, niesprawiedliwym, zraża do siebie uczniów. Rodzi się antagonizm wzajemny.

---

gdzie układali się na spoczynek w odrętwieniu. Wydzierali je sobie z dziką zawziętością. Nie myśleli o tem, że inne łupy mogły głód ich zaspokoić, inne schronienia dać im przytułek. Zaciekła ich żądza czepiała się ciągle tego samego przedmiotu, tych samych resztek nędznego zwierzęcia, tej samej maleńkiej cząstki olbrzymiej ziemi, którą mogli rozporządzać. Bo pragnęli oni raczej zaznaczyć swoje prawo posiadania, niż uczynić zadość najpierwszym potrzebom. I już w tym okresie zazdrości pełnej pychy odzywały się w nich groźne głosy rewolucyonistów, krzyczące: „Co twoje, to moje!“

I w ten sposób stopniowo wzmagała się samolubna ich chciwość, nie zadawalając się już zaspakajaniem głodu. Zmierzali do przesytu. Dręczyła ich żądza używania, ta namiętność rozkoszy, która niegdyś podnieciła pewne pokolenia do tego stopnia, że wytrąciły z kolei porządek społeczny i porządek moralny wymarłych epok, a która dzisiaj nawet, śród ich nędzy, ukazywała się ponownie w wielkiem powtórzeniu ostatecznem i wywoływała zawikłanie w cierpieniu.

Nie przestając być materyalną walką, stawała się coraz bardziej moralną. I powstawały inne rasy — rasy pełne pychy, rasy ambitne, żądne koron, chciwe władzy. Nie bili się już o miejsce równe. Bili się o miejsce lepsze. Każdy chciał wykazać swoją wyższość i upokorzyć niewolnika. I to było też powodem, dla którego rozłączyć się już nie mogli.

Wierzyli z niepokonaną siłą w cud, w płodną godzinę snu, podczas którego z żebra jednego z nich stworzona zostanie przyszła Ewa. Ale żaden nie czuwał już nad snem drugiego. Każdy pysznił się tem i wierzył, że jemu to objawiona została tajemnica i że on będzie Wybranym. Tak to odżyły w nich tłumy religijne, sekty pełne pychy, z których każda mieniła inne samozwańczemi, przekonana, że ona była jedyną spadkobierczynią Prawdy i Świętości, narodem nawiedzonym, Świecznikiem Jasności i że ona jedna tylko nosiła na sobie piętno boskie.

I złe tłumy powstawały z głębi Historyi, z głębi Ludzkości, odbijały się na tle ich dusz z namiętnościami swemi, bryzgając pianą piołunową, rozlewając fale zniszczenia. A różnorodne ich krzyki zlewały się stopniowo, zamieniły się w jeden ryk, który był wrzaskiem Nienawiści.

Wówczas znienawidzili się. Nosili w sobie nienawiść wieków i wybuchła ona nad przepaścią, wobec której łączył ich przerażający węzeł.

Szukając pewnego dnia łupu śród ruin miasta, weszli do siedziby, która była niegdyś niewątpliwie zbytkownym pałacem. Przeszukując ją wspólnie, bo nienawiść prowadziła ich ciągle jedną drogą, znaleźli skórę niedźwiedzią i olbrzymie kufry złotem i dyamentami napełnione. Były to bogactwa nagromadzone przez liczne pokolenia. Obaj rzucili się na skórę niedźwiedzią i wydzierali ją sobie z wściekłością. Telos, słabszy, został zwyciężony. A tamten, otulając się w ciepłą skórę, drwił z niego, mówiąc: „Czego się skarżysz? Twoja zdobycz piękniejsza. Zostawiam ci kufry pełne złota.“ Te zuchwałe wyrazy były niby pochodnią rzuconą na stos siarki. Nienawiść Telosa buchnęła płomieniem. I wówczas ponad tłumami, ponad postępującemi rasami, któremi rządzić nigdy nie przestał, ukazał się wyklęty Pradziad. Wielki cień padł od niego na całą Ludzkość. I ostatni Kain zabił swego brata.

*

Gdy Telos pozostał sam, wobec trupa, poznał zgrozę ostatniej zbrodni. Ogarnęła go ponownie obawa samotności, lodowatego chaosu i mroku. Bo Mrok zapadał ciągle potężny i wszechwładny. Chwyciwszy w ramiona trupa, Telos wydał okrzyk ostatniego potępienia. Poczem, przerażony, uciekł w Noc Wieczystą.

Tłom. z franc. *Br. Neufeldówna*.

Nauczyciel, raz wszedłszy na grunt pochyły, stacza się już coraz niżej. Z padagoga światłego, utalentowanego, z człowieka, szczerze kochającego dziatwę szkolną, staje się ich gnębicielem, hamulcem ich zdolności i niejednokrotnie wyrządza wielką krzywdę młodzieży: zniechęca i wykoleja ją. W końcu sam nabiera wstrętu do swego zawodu, tak szczerze dawniej umiłowanego.

Krytycy systemów szkolnych, patrząc na to wszystko, utyskują na brak zdolnych i sumiennych nauczycieli, każą wytwarzać nowych za pomocą jakichś cudownych środków znachorskich. Nie mogą tylko dopatrzyć gruntu, na którym wyradzają się i jałowieją zdolności pedagogiczne i „talenty etyczne“ nauczycieli. Tym gruntem jest ciężki byt materyalny.

Niedawno ktoś świadomy rzeczy podał w *Gazecie Polskiej* budżet naszych nauczycieli, który wymownie uwydatnia smutne położenie tej rzeszy pracowników. Autor oblicza, iż przeważna większość zakładów naukowych płaci nauczycielowi rubla za godzinę lekcyi, bez potrącenia świąt, ale z *potrąceniem wakacyi,* czyli 40 rubli rocznie za każdą godzinę tygodniową. Bardzo niewiele szkół płaci 1 rb. 25 kop. za godzinę, czyli 50 rb. rocznie. Wreszcie istnieje zaledwie parę szkół męzkich, które płacą po 1 rb. 50 kop. za godzinę, czyli 60 i więcej rubli rocznie. „Ale za to przechowało się, jako zabytek dawnych czasów, kilka szkół, gdzie jeszcze płacą po rublu za godzinę, z potrąceniem nietylko wakacyi, ale wszelkich świąt i dni opuszczonych z powodu choroby.“ Można zatem przyjąć za przeciętną normę płacy 40 rb. za godzinę tygodniowo. Ponieważ nauka szkolna ciągnie się przeciętnie 5 godzin dziennie, więc gdyby nauczyciel wszystkie te godziny miał zajęte, to mógłby zarobić $40\times30=1{,}200$ rb. rocznie.

Następnie autor biorąc rodzinę, składającą się z pięciu członków, oblicza budżet minimalny: Mieszkanie (3 pokoje) 400 rb., pożywienie po 1 rb. 80 kop. dziennie 657, ubranie, bielizna, obuwie 250 rb., rozrywki (teatr, goście, wydatki świąteczne) 48, służąca 60, książki i pisma 20, sprzęty i naczynia 20, leczenie się 18, pranie 12, opał 65, światło 80 rb., wydatki osobiste (tytuń, śniadania na pauzie, tramwaje) 80 rb., razem 1,650 rb. Budżet ten, jak widzimy, jest nadzwyczaj skromny. Ale ponieważ znacznie przewyższa dochody nauczyciela, więc autor każe mu czynić pewne oszczędności — z sarkazmem: Rodzina, złożona z pięciu osób, może się zmieścić w dwu pokojach. „Rozrywki, np. teatr, koncert dla człowieka inteligentnego są zbyteczne; służąca mu niepotrzebna, dość będzie posługaczki; książek nie potrzebuje; powinien mieć wszelki rozum w głowie: na leczenie się za dużo 18 rb. rocznie; nauczyciel nie powinien chorować, a deser jakiś przy obiedzie lub czasami legumina, to oczywisty zbytek: może także obejść się przy herbacie bez masła do bułek. Budżet więc musi być zastosowany ściśle do dochodu. Mieszkanie (2 pokoje) 270 rb., pożywienie (bez służącej) po 1 rb. 35 k. dziennie 495 rb., wszelkie ubranie 200, posługa 36, książki i pisma 10, sprzęty, naczynia 10, pranie 30, opał 55, światło 18 (?), wydatki osobiste 60, razem — 1,200 rb.

W rzeczywistości za taką sumę w warunkach obecnych człowiek inteligentny z rodziną wcale się utrzymać nie może; wydaje znacznie więcej. Nie zapominajmy przytem, że obowiązki nauczyciela, jako ojca i opiekuna rodziny, rosną z każdym rokiem, że i ten pracownik tak samo, jak adwokat, lekarz, inżenier, literat, kupiec, przemysłowiec, ma prawo do kształcenia swoich dzieci w szkołach, że musi je umundurować, zaopatrzyć w książki, kajety, opłacić wpisy. Człowiek taki, pomimo największych oszczędności, nie wyda w żaden sposób mniej, niż 2,000 rb. rocznie. Skąd weźmie 800 rb.? Musi dorabiać lekcyami prywatnemi, a nawet ratować się pomocą lichwiarską. To właśnie jest przyczyna wszelkich wad pedagogicznych nauczyciela, na które tak piorunują krytycy systemów szkolnych.

Autor artykułu w *Gazecie Polskiej* zapytuje, czy przełożeni i przełożone mogą się usprawiedliwić niemożnością podwyższenia płacy nauczycielom? „Nic słychać jakoś o upadaniu szkół prywatnych, natomiast liczba ich ciągle wzrasta; utrzymywanie więc szkoły musi być wcale niezłem przedsiębiorstwem. Zapewne, że jest niewielka ilość szkół, które rzeczywiście z trudnością koniec z końcem wiążą: przeważna jednak ilość zakładów naukowych wcale dobre robi interesy. Przełożeni i przełożone kupują sobie wille i grunty, wyjeżdżają za granicę i odcinają kupony; ale za to, bez względu na wzmagającą się drożyznę, targują się zawzięcie z nauczycielami o kilka rubli miesięcznie, które zapewne nie na ostrygi i homary byłyby przeznaczone.“

Podobno niektórzy przełożeni usłuchali tego głosu i podnieśli płacę nauczycielom. Oby to była prawda! Bądź co bądź istotnie, jak widać, zainteresowali się oni trochę szczerzej losem tych pracowników, bo oto czytamy w pismach, iż grono kierowników i właścicieli tutejszych szkół prywatnych wystąpiło do kuratora okręgu naukowego warszawskiego z podaniem o pozwolenie otwarcia w Warszawie kasy wzajemnej pomocy nauczycieli prywatnych, wyznań chrześciańskich, na wzór istniejącej takiej instytucyi dla nauczycieli i nauczycielek wyznania mojżeszowego. (Podanie podpisali trzej przełożeni szkół). Miejmy nadzieję, że się nie skończy na usiłowaniach i dobrych chęciach.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Mowa p. Andersona: — Propozycye. — Zamach na miasteczka poznańskie. — Proces prasowy. — Wyjaśnienie. — Pogląd *Kolnische Ztng.* — Gdzie spoczywa niebezpieczeństwo germanizacyi? — Dymisya urzędnika. — Odczyty ludowe.

Nigdzie, jak w Poznańskiem, teorya polityczna nie jest tak skwapliwie zastosowywaną w praktyce i nigdzie nie panuje taka nieustanna czujność w tej mierze. Kwestya polska — to ząb bolący Prusaków, o którym nie mogą zapomnieć nawet w śnie głębokim. Ten ból jednocześnie jest miarą naszej żywotności i siły narodowej. We Frankfurcie nad Odrą z inicyatywy b. radcy regencyi poznańskiej, dr. Andersona, przed rokiem powstała filia związku hakatystycznego. Niedawno właśnie odbywały się wybory prezesa filii tej pięknej instytucyi. Z tego powodu inicyator wygłosił odczyt o kwestyi polskiej i celach hakatyzmu. „Uważam kwestyę polską za najpoważniejszą w polityce wewnętrznej.“ To znamienne zdanie Bismarcka przypomniał mówca swoim słuchaczom. P. Anderson podziela to zdanie najzupełniej, na mocy doświadczenia osobistego. Był „współpracownikiem w pruskiej polityce narodowej“ i w ciągu lat piętnastu przyglądał się zblizka stosunkom w Poznańskiem. Obecnie wyniósł z życia to przeświadczenie, że wszelka ugoda jest bezcelową i bezskuteczną, że się ona już nie ponowi nigdy, a przynajmniej w bliskiej przyszłości; że wobec „wzrostu agitacyi polskiej,“ tudzież zaostrzenia się stosunków narodowościowych na niekorzyść niemczyzny — przeciwko Polakom należy wystąpić z niezłomną stanowczością, pokazać im wyraźnie, iż Niemcy są panami u siebie. Błędem wielkim było mieszanie dwu pojęć: polskości i katolicyzmu w prowincyach, w których panują różne języki. Dopiero w ostatnich czasach Niemcy-katolicy przyszli do pewnego uświadomienia i przekonali się, że „pacierz niemiecki nie jest grzechem.“

Zasmucił się biedny mówca, przejrzawszy szczupłą liczbę członków frankfurckiej filii hakatystycznej. Zdawał mi się — mówił z wyrzutem — że we Frankfurcie nad Odrą, największem mieście pogranicznem, łatwo się pozyska dla sprawy „Ostmarkenvereinu“ przynajmniej 10,000 szeregowców do dzielnej sprawy. Tymczasem, niestety, trzeba z tej cyfry wykreślić aż dwa zera! Przyczynę słabego udziału mówca upatruje w obawie kupców, ażeby przez należenie do Towarzystwa H. K. T. nie ponieśli strat materyalnych. Według przypuszczeń Andersona, opinia niemiecka chłodno traktuje związek antypolski dlatego, że dotychczas nie postarał się on o osiedlenie w prowincyach wschodnich większej liczby chłopów i rzemieślników niemieckich. Otóż trzeba się zająć przedewszystkiem kolonizacyą wewnętrzną, walka bowiem o ziemię rozstrzygnie kwestyę polską. Dzięki takim rozumowaniom mówcy, powstała na zebraniu niebywale śmiała propozycya państwowego wywłaszczenia Polaków oraz pozbawienia ich prawa nabywania ziemi. Jakkolwiek, zdaniem p. Andersona, propozycya ta jest „niepolityczna i niemożliwa do przeprowadzenia, ale trzeba, bądź co bądź, dążyć do tego celu wszelkimi środkami. Przedewszystkiem należy rozwinąć energiczną kolonizacyę wewnętrzną. Działalność tę trzeba powierzyć Towarzystwu szerzenia niemczyzny. Poczną się tedy biedacy nad wyszukiwaniem coraz nowych środków prześladowczych.

Nie zaniedbują oni także wszelkich środków w czynie. Oto np. przed paru tygodniami w wielu miastach Księstwa Poznańskiego odbyły się wybory na naszą niekorzyść, zwłaszcza w ogniskach większych. Mniejsze, jak np. Swarzędz, posiadające ludność przeważnie polską, wyszły zwycięzko. Oczywiście nie podobało się to Niemcom, a co gorsza, zaniepokoiło wobec widoków na przyszłość. Wkrótce bowiem miasta W. Księstwa, których jest mnóstwo, pod względem praw politycznych (reprezentacyi w sejmikach powiatowych) mają być zrównane z miastami innych prowincyj pruskich. Rzecz prosta, iż taki przywilej zapewni przewagę Polakom. Otóż Niemcy podają wniosek zamienienia tych miasteczek na wsie zwyczajne, niby pod pozorem wysokich kosztów zarządu. Jak przewidują, wniosek ten będzie przedmiotem obrad w reprezentacyi krajowej. Wieść ta wywołała w prasie polskiej i spo-

łeczeństwie silne protesty, gdyż takie zdegradowanie miasteczek, niebywałe w dziejach kultur i cywilizacyi, wyrządziłoby mieszkańcom wielkie straty materyalne. Naturalnie miasteczka wobec tego zamachu nie będą się zachowywały biernie. *Posener Ztng* między innemi skazuje na zagładę następujące miasteczka: Mielżyn, Dubin, Rynarzewo, Rogowo, Kopanice, Szlichtingowę, Zaborowo, Jaraczewo, Baranów, Książ, Piaski, Ostrożóg, Ryczywół i Miasteczko, ogółem 14 mających mniej, niż po 1,000 mieszkańców. Nadto zaproponowano zamianę na osady pięć miasteczek, leżących mniej, niż 1,500 mieszkańców: Wysoka, Nowe Miasto, Powidz, Mieścisko i Gołancz.

Procesy prasowe, również jako objaw ucisku narodowego, nie ustają. Po raz wtóry znalazła się przed sądem *Praca*, a szczegóły tej sprawy są tak charakterystyczne, że warto je zaznaczyć. Jeszcze we wrześniu roku przeszłego tygodnik ten zamieścił wierszyk, drukowany przedtem w innych pismach poznańskich. Dopatrzono się w nim satyry na polityczny kierunek monarchii pruskiej i wytoczono proces „o chęć zakłócenia spokoju publicznego.“ Jakoż na tej zasadzie, ówczesnego redaktora odpowiedzialnego, p. Lipińskiego, skazano na karę więzienną. Zdawało się, że już na tem koniec. Ale oto niedawno niejaki Krzyżankiewicz, właściciel drukarni, postać licha, powodowany zawiścią konkurencyjną, doniósł prokuratoryi, iż winowajcą jest nie p. Lipiński, lecz p. Biedermann, wydawca *Pracy*, któremu też na podstawie owej denuncyacyi wytoczono proces niezwłocznie. Oskarżony twierdził, że donosicielowi, jako jednostce upadłej moralnie, nie warto dawać wiary. Denuncyacya, po za drukarstwem, stała się drugim jego procederem. W ten sam sposób oskarżył on wielu innych ludzi, np. p. Kanteckiego, dr. Lebinskiego i nawet dostojników duchownych. Wogóle czyny jego świadczą o pewnem zboczeniu umysłowem. Oczywiście oskarżonego uwolniono od odpowiedzialności. Ogół zaś z procesu wynosi ten pożytek, że wie, kogo należy się strzedz i piętnować publicznie.

Na tle ucisku germanizacyjnego i samowoli policyjnej jaskrawo się zaznacza fakt następujący: Ciągłe od lat kilku prześladowanie języka polskiego przez policyę na zebraniach publicznych wywołało nareszcie protest energiczny. Uciskani uciekli się do najwyższego sądu administracyjnego, który tym razem wykazał całą swoją bezstronność, jak przystało instytucyi, reprezentującej sprawiedliwość. Mianowicie wyjaśnił, że nigdzie w prawie niema wzmianki o przemawianiu na zebraniach tylko po niemiecku. Policyi wolno jedynie kontrolować zebrania. Obowiązkiem jej jest wysyłać urzędnika, znającego język, w którym toczą się rozprawy, chociażby mówiono na zebraniach po chińsku. Wyjaśnienie to zabezpiecza zebrania od samowoli i nadużyć policyi, która niejednokrotnie pozwalała sobie w sposób tak brutalny rozwiązywać zebrania.

Drugim faktem pewnej bezstronności jest artykuł *Kolnische Volkszeitung* i polemika tego organu z *Schles. Ztng.* W artykule p. t. „Strażnica niemiecka“ pismo kolońskie podkreśla znamienny objaw radości germanizatorów z powodu zniesienia w gimnazyum chełmińskiem fakultatywnej nauki języka polskiego. „Hakatyzm w najświeższej formie zna tylko takie środki mechaniczne. Mniema on, iż Polacy ostatecznie przestaną mówić po polsku, jeżeli my wykażemy stanowczą niechęć do ich mowy. Alež nie należy zapominać, że uczniowie gimnazyalni, przeważnie dzieci ludzi zamożnych, znajdą inne środki wyuczenia się i zachowania swego języka. Dlatego więc i obecna najnowsza próba będzie bezowocną. Wywoła ona tylko większe rozgoryczenie Polaków i przeciwdziałanie energiczne.“

Takie zdanie *Kolnische Volkszeitung* oczywiście nie może się podobać krótkowidzącym i sfanatyzowanym hakatystom. To też podzielają oni poglądy *Schles. Ztng*, która zaznaczając, że w niektórych gimnazyach w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich wykładany jest język polski, i to przez Polaków — nazywa ten stan *niepedagogicznym* i przemawia za stanowczem jego zniesieniem. Zresztą otwarcie ów organ powołuje się na cele polityczne i narodowe, wymagające tego ograniczenia: radzi pozbyć się „niemieckiej sentymentalności.“ która prowadzi do ustępstw i uprawniania tego, co się nie zgadza z germanizacyą.

Godną jest uwagi odpowiedź *Kolnische Ztng* na powyższe zapatrywania: „My w Prusiech sztukę uciskania mniejszości narodowych podnieśliśmy do niebywałej dotąd wysokości technicznej. Wyników praktycznych nie mamy i zapewne nigdy ich mieć nie będziemy, ale przynajmniej możemy się szczycić mistrzostwem w teoryi, która nas zaprowadziła wyżej, niż większość narodów... „Jeżeli uczniom polskim niepotrzebna jest nauka języka polskiego, to pocóż w gimnazyach niemieckich istnieje nauka języka niemieckiego?“

Organ powyższy nazywa naganke na język polski „dziką pedagogiką.“ Konieczność zaś wykazania Polakom, że ich przynależność do Prus jest nierozerwalną, nie ma nic wspólnego z językiem polskim. „To też i na dworze berlińskim i w domach arystokratycznych musianoby zakazać mówienia po francusku. Rządząc się tą zasadą, należałoby w gimnazyach znieść naukę języka francuskiego i angielskiego. Wszystko, co nie jest niemieckie, trzeba stłumiać. Nie składajmy ofiar Molochowi zagranicznemu. Precz ze wszystkimi językami obcymi, precz z włoskim papieżem, z chrześciaństwem, głoszonem najpierw w Palestynie! Musimy znowu wskrzesić naszą odwieczną wiarę pogańską!“

Taką ironią traktuje *Koln. Ztng* „dziwactwa przenarodowione.“ Nazwaliśmy głos tego pisma bezstronnym, nie ze względu na jakąś szczególną miłość dla Polaków, lecz poprostu dlatego, że poglądy owe są pozbawione ciemnego fanatyzmu i gdyby hakatyści mieli trochę więcej oleju w swych czaszkach, upatrzyliby w takich poglądach skuteczniejszą metodę germanizacyjną. Na szczęście dla nas, nie widzą tego. W polityce, tak samo jak w medycynie, są wypróbowywane różne systemy. Dawniej lekarze w wielu chorobach stosowali środki silne, drażniące. Dyfteryt np. leczono za pomocą wypalania środkami mocno gryzącymi, co miało taki skutek, że choroba zamiast ustępować, jeszcze silniej się rozwijała. Aż nareszcie wprowadzono inhalacye, łagodne płukania i szczepienie surowicy. Środki te wykazały całą swą cudowność. Otóż podobnej metody trzymają się obecnie mądrzejsi politycy niemieccy. Naiwni Polacy nazywają to przyjaźnią lub miłością, wściekli fanatycy niemieccy — zdradą lub głupotą; my zaś to nazwiemy wyrafinowanym i mądrym środkiem germanizacyjnym, lepszą metodą leczniczą, służącą do skutecznego zabijania zarazków słowiańskich w organizmie germańskim. Gdyby Towarzystwo hakatystów nagle przejrzało, pozbyło się swej głupoty i zastosowało te wskazówki przemądre, ujrzelibyśmy naraz przed sobą wroga stokroć silniejszego i niebezpieczniejszego. Na szczęście hakatyści nie pozwalają nam ani na chwilę zapomnieć. kim jesteśmy i wołają nieustannie i wszędzie: jesteś Polak — nie zostaniesz urzędnikiem! Jesteś Polak — nie wolno ci się uczyć w gimnazyum po polsku! Jesteś Polak — nie wolno ci na zebraniach rozprawiać po polsku! Oczywiście to ciągłe przypominanie od dzieciństwa wszczepia nam świadomość narodową i nawet ludzi napół zgermanizowanych wraca naszemu społeczeństwu.

Oto ilustracya do niemądrej polityki hakatystów: U komisarza obwodowego w Gołańczy (pow. Wągrowiecki) pracował od lat dziesięciu zarządzający biurem, p. Szmolke, Polak i katolik. Niesłychanie pracowity, sumienny, zdolny, zjednał uznanie swej władzy. Było mu zupełnie dobrze, może nawet nie zdawał sobie dokładnie sprawy z położenia swych współbraci, może go nawet nie drażniły tak bardzo i nie rozgoryczały wybryki germanizatorów, gdy oto naraz zwierzchnik mu oznajmia, że nie może go nadal mieć u siebie, jakkolwiek mu nic nie ma do zarzucenia. Taka wola wyższej władzy. Komisarz, człowiek sprawiedliwy, dał mu na osłodę piękne świadectwo, w którem zaznacza, że p. Szmolke pracował przez długie lata z rzadką, niezwykłą sumiennością i wiernością, że pilnie wypełniał swoje obowiązki, że jego służbowe i pozasłużbowe prowadzenie nie dało nigdy pod żadnym względem powodu do najmniejszej nagany: że wreszcie z wielką sumiennością spełniał on obowiązki gospodarza szkoły. P. Szmolke czyta to świadectwo, przeciera oczy, czuje szum krwi w głowie, ból w sercu, straszną gorycz w duszy i woła: „Jestem Polak, Polak, Polak!..“ Z tą świadomością zasypia, śni i budzi się.

Na zakończenie drobna notatka. Wykłady ludowe im. Adama Mickiewicza ściągają coraz szersze koła słuchaczów, przeważnie rzemieślników tudzież robotników światlejszych. Niedawno dr. Jarmułowski mówił „O zwalczaniu suchot płucnych, jako choroby ludowej,“ a dr. J. N. Szuman „Z nauki o ziemi.“ *et.*

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Towarzystwo szachistów.

Sympatycznemi są dla nas wszelkie stowarzyszenia z moralnym celem, chociażby ten cel leżał w dziedzinie zabawy. Zapewno, nie można porównywać np. Towarzystwa wioślarskiego ze Związkiem roboczym, jedną z najdonioślejszych korporacyj, jakie u nas powstały w ostatnich latach, ale musimy również pierwszemu przyznać wartość dodatnią. Świeżo zawiązany Klub szachistów należy do tej samej kategoryi. Szczerze mówiąc, nie rozumiemy, dlaczego gra w szachy uznana została za wyjątkowo szlachetną. Myślenia wymagają także inne, a bezinteresowność oddawna w niej znikła. Tak samo toczą się walki o pieniądze na szachownicy, jak na bilardzie lub zielonym stoliku, tak samo pierwsza ma swoich zawodowców, jak ostatnia. Rzeczywiście z gry szachowej jest wyłączone t. zw. szczęście i „poprawianie fortuny,“ ale kryje się w niej inne niebezpieczeństwo, na które radzibyśmy zwrócić uwagę. Mianowicie bardzo łatwo przechodzą one w nałóg. Znaliśmy wielu zapaleńców, którzy tą namiętnością zwichnęli sobie życie, porzucili studya i prace, poprostu zmarnieli, pomimo wielkich zdolności. Człowiek dojrzały umiarkuje się zarówno w tem, jak w każdem upodobaniu, ale młody podda się łatwo pokusie. A szachy są bardzo przyjemne, bardzo zajmujące, lecz także bardzo niebezpieczne.

Stanisław Zalewski.

Zeszłego tygodnia zmarł w Warszawie człowiek, który nie odznaczył się żadnym

czynem publicznym wielkiej miary, który jednakże używał szerokiego uznania i szacunku, a jego śmierć w wielu sercach odbiła się echem szczerego żalu. Był to bowiem wyjątkowy znawca prawa, znakomity adwokat i czysty charakter. Gdy w ostatnich latach pogasły pierwszorzędne gwiazdy naszej palestry, Zalewski, który należał do ich grona, tem mocniej odbijał się swem światłem na pochmurzonem niebie. Poprostu trudno było sobie wyobrazić, ażeby bez niego odbyła się jakaś narada w ważnej kwestyi cywilno-prawnej. Przyjąwszy od kogoś sprawę, wierzył głęboko w jej słuszność, kładł ją w swoje serce i bronił z takiem umiłowaniem, jak gdyby była jego własną. Niepodobna było złożyć procesu w ręce lepsze, a nadewszystko w pewniejsze. Zalewski klienta nigdy nie zdradził, a zawsze ubezpieczył go nietylko swoim obrończym talentem, ale też swoim nieugiętym charakterem. Nie pozostawił po sobie pisanych dzieł, ale pozostawił żywe przykłady, które są czasem wymowniejsze od zadrukowanego papieru. Adwokat, zwłaszcza adwokat z rozległą praktyką, jest tym działaczem, do którego tysiące ludzi z prośbą o pomoc i ratunek znoszą swe niecnoty, złe wole, samolubstwa, oszustwa, ale także swe smutki, żale, krzywdy, nieszczęścia i nadzieje, który przeto może się stać albo opiekunem występku i gorszycielem moralnym, albo orędownikiem sprawiedliwości. Jeżeli jest niegodziwym, to w zasadach i uczuciach robi spustoszenia gorsze od zarazy; ale jeśli jest uczciwym, to je wzmacnia i oczyszcza, jak świeży prąd powietrza. W zatęchłej, nieraz trującymi wyziewami przesyconej atmosferze naszej palestry, Zalewski był pierwiastkiem zdrowia. Zapewnie, pozostały w niej inne czyste dusze, ale ileż zgniłych, zakażonych, które mogłyby wypełnić cały krąg Dantejskiego piekła. Może żadna inna dziedzina naszego życia nie wymaga większej dezinfekcyi, w żadnej też uczciwe charaktery nie mają większego znaczenia i wartości.

Dawna choroba.

W Ciechanowie założono Towarzystwo wzajemnego kredytu. Szkoda marnować słów na dowodzenie pożytku takiej instytucyi, więc go nie wykazujemy. Powinszowalibyśmy inicyatorom i członkom energii i zabiegliwości, gdyby, niestety, przy organizowaniu Towarzystwa nie wystąpiła nasza dawna, dotąd nieuleczalna choroba — tworzenie klik i wywoływanie waśni. Nie będziemy tu powtarzali szczegółów walki wyborczej, przesłanych nam przez dwóch korespondentów, którzy skarżą się na intrygi, zmowy, podstępne głosowania itp., przypomnimy tylko uczestnikom nowej instytucyi „przekleństwa złych czynów.“ Gdyby te zapasy o urzędy i tytuły, gdyby przepychanie się szeroko rozpartymi łokciami na naczelne stanowiska, gdyby wszystkie kłótnie, porażki i zwycięztwa przy urnie głosów były tylko przyjemnościami lub przykrościami jednostek, możnaby nie zwracać na nich uwagi. Ale one prawie zawsze wnoszą zaczyn rozkładu do instytucyi i sprowadzają chroniczne osłabienie jej działań. Potem dziwimy się, dlaczego ona chroma, nie rozwija należytej energii lub też bezpłodnie zamiera. A przyczyną było to, że urodziła się z walki, zamiast zgody, i żyła walką, zamiast zgodą. Jaki to już wielki, niemal spóźniony czas, ażebyśmy zrozumieli, że urządzenia społeczne mają na celu dobro społeczne, a nie dogadzanie mizernym ambicyom osób!

Nowe Towarzystwo.

Pomimo, iż przedsiębiorstwa komunikacyjne stanowią poważne i zasobne instytucye ekonomiczne, pomimo, że mają milionowe zyski, dotąd nie potrafiły jednak należycie zapewnić bytu, a zwłaszcza przyszłości licznym rzeszom pracowników swoich. Kasy emerytalne po krótkiej a niefortunnej próbie upadły lub się przekształciły na mniej odpowiednie i korzystne. Pracownicy tedy pozostali bez jutra. Na najbardziej chwiejnym gruncie stoją oficyaliści i urzędnicy kolei Nadwiślańskich. Ponieważ ta rzesza składa się z 10,380 osób, więc ich los już nie jest kwestyą prywatną lub nawet drobną społeczną. Ma ona doniosłe, ogólne znaczenie. To też faktem wielkiej wagi i jednocześnie znamiennym rysem naszych urządzeń społecznych jest zorganizowanie samopomocy, która wychodzi z inicyatywy i zabiegów samych pracowników. Oto *Kuryer Codzienny* donosi, iż pracownicy zarządu wydziału mechanicznego tych kolei, z referentem swoim, p. Leonem Wojciechowskim na czele, złożyli zwierzchnikowi tego wydziału, inż. Łapczyńskiemu, projekt stworzenia „Towarzystwa wzajemnej pomocy pracowników kolei Nadwiślańskich,“ do przekazania wyższej władzy. Zasady nowej instytucyi są następujące: Do Towarzystwa może należeć każdy pracownik, bez względu na to, czy zajmuje posadę etatową, czy jest płatny dziennie, nie wyłączając kobiet. Członkowie, odpowiednio do pobieranej płacy etatowej lub dziennej, dzielą się na cztery kategorye: Po 500, 1,000, 2,000 i 3,000 rubli rocznie. Stosownie do tych kategoryj, płacić będą wpisowe po 2, 3, 6, 7 rb. jednorazowo i składać miesięcznie po 26, 40, 70 kop. i 1 rb. 20 kop. Z chwilą zapisania się do Towarzystwa, uczestnik ma prawo do otrzymania wsparć pieniężnych 1: *a)* w razie choroby, trwającej dłużej, niż dwa miesiące; *b)* zniszczenia mienia przez pożar lub powódź; *c)* wydalenia ze służby z powodu choroby, starości lub niezdolności do pracy. We wszystkich tych trzech wypadkach wysokość wsparcia, oznaczona w stosunku pensyi miesięcznej lub zarobku dziennego. 2) Jeżeli syn uczestnika pierwszej lub drugiej kategoryi przejdzie na trzeci kurs jednego z wyższych zakładów naukowych— w kwocie 100 rb. 3) W razie śmierci dziecka lub żony — na pogrzeb, stosownie do kategoryi (od 15 do 100 rb.). 4) W razie śmierci samego uczestnika, na pogrzeb jego i na pierwsze potrzeby pozostałej po nim rodziny, odpowiednio do kategoryi i zależnie od liczby lat uczestniczenia w Towarzystwie (50—900 rb.). Dla uczestników, uwolnionych ze służby z powodu starości i niezdolności do pracy, Towarzystwo posiadać będzie własne schronisko. Nadto, stowarzyszeni mieć będą klub z czytelnią, do którego mogą być przyjmowani także pracownicy innych kolei, przylegających do Warszawy, nie wyłączając miejskiej. Członkowie klubu przyjmowani będą przez balotowanie.

LITERATURA I SZTUKA

LITERATURA POLSKA.

Antoni Gustaw Bem: *Teorya poezyi polskiej z przykładami, w zarysie popularnym, analityczno-dziejowym.* Petersburg. Nakładem K. Grendyszyńskiego. r. 1899, str. 416

Przeminął bezpowrotnie czas, kiedy forma odgrywała w poezyi naszej rolę podrzędną, kiedy umyślnie nawet zaniedbywano ją niemal, żeby, mówiąc słowami Antoniego Małeckiego, „czysty wyraz duchowy nie tonął w ciele, nie zagrzęzał w kształtach materyi,“ lecz aby zachował w utworze sztuki „swój początek niebiański i własną nadludzką duchowość.“ Wystarczy rozejrzeć się nieco w działalności poetyckiej nowszego pokolenia epików i liryków naszych, począwszy od Asnyka i Konopnickiej, aby zauważyć, że pozbyli się oni wzupełności właściwych romantykom obaw, iż zbytnia dbałość o piękno zewnętrzne może się odbić niekorzystnie na stronie duchowej i wogóle treści utworów. Piękna, prawdziwie artystyczna forma, wyrażająca możliwie najlepiej uczucia i myśli, stała się dziś jednym z najważniejszych warunków poezyi, a najmłodsi autorowie nasi ściągają nawet niekiedy na swe gorące głowy niesłuszny, według nas, zarzut, jakoby razem z symbolistami belgijskimi dążyć mieli do zniesienia „supremacyi myśli nad słowem.“

Cokolwiek powiedziećby się dało o pewnych krańcowościach i wybrykach w tym albo innym kierunku, niewątpliwą jest rzeczą, że, wobec niebywałego przedtem rozwoju zarówno rodzajów, odmian i form utworów poetyckich, jak i samej techniki wiersza polskiego, silniej, niż kiedykolwiek, uczuć się dawał w ostatnich czasach brak wyczerpującego, umiejętnie napisanego dzieła, któreby z jednej strony miało na celu ułatwienie talentom istotnym zwycięzenia pierwszych trudności technicznych, z drugiej — raz wreszcie przekonało niepowołanych, że do pisania poezyi nie wystarczają już dziś dobre chęci, obfitość wolnego czasu i papieru, oraz nieprzezwyciężona żądza herostratowej częstokroć sławy, a niezależnie od tych dwóch głównych zadań — zapoznawało zarówno młodzież, jak i ogół inteligentny, z obecnym stanem tego odłamu wiedzy, któremu p. Antoni Gustaw Bem nadaje, skróconą następnie w tytule książki, nazwę teoryi poezyi ze szczególnem uwzględnieniem poezyi polskiej.

Jeżeli pominiemy treściwą „Estetykę poezyi“ Teofila Ziemby, wydaną przed kilkunastu laty w Krakowie, i starszą jeszcze od niej, obszerną, lecz pozbawioną wartości naukowej „Teoryę poezyi“ Bądzkiewicza, to ostatecznie pozostanie nam tylko pół wieku z górą licząca „Nauka poezyi“ Cegielskiego, praca poważna i ciesząca się zasłużonem uznaniem, lecz dziś już z wielu względów przestarzała. Sumienne, z erudycyą filologiczną napisane „Uwagi o wersyfikacyi polskiej“ Rowińskiego stanowią niewątpliwie rozprawę wartościową i względnie nową (ogłoszone zostały w czwartym tomie „Prac filologicznych“ w r. 1892), ale nie tworzą bynajmniej całokształtu teoryi poezyi i nie dla wszystkich są dostępne, wobec czego zdarzało się nieraz, że młodsi poeci nasi zapoznawali się z ogólnemi zasadami wierszowania polskiego z kilkunastostronicowego dodatku do gramatyki szkolnej Małeckiego lub nawet obchodzili się całkiem bez tej znajomości.

Wydana świeżo „Teorya poezyi polskiej“ zasłużonego pracownika na niwie literatury polskiej, mimo pewne, nieliczne zresztą i pozbawione większej wagi usterki, zapełnia wreszcie w znacznym stopniu powyższą lukę naszego piśmiennictwa naukowego i jest owocem wybornej znajomości przedmiotu i szczerego doń zamiłowania, dziełem poważnem i gruntownem, jednem z najlepszych, jakie w tym zakresie, nietylko u nas, ukazały się w czasach ostatnich.

W krótkiej przedmowie autor daje nam bliższe umotywowanie tytułu oraz rzut oka na historyę przedmiotu w dziedzinie literatury ojczystej. Lecz wspominając o takich utworach, jak „Poeta“ Łukasza Opalińskiego, jak „gładkiemi oktawami skreślony“ poemacik Wacława Rzewuskiego „O nauce wierszopiskiej,“ jak „Sztuka rymotwórcza“ Dmochowskiego lub nawet wierszyk Węgierskiego p. t. „Myśl o poezyi, niesłusznie, zdaniem naszem, pomija tu milczeniem zupełnem obszerną (338 str.) rozprawę Ignacego Krasickiego „O ry-

motwórstwie i rymotwórcach," zawierającą między innemi w części pierwszej rozdziały „o rytmach bohaterskich albo epopei," „o rytmach prawidłowych albo dydaktycznych," „o satyrach i epigramatach," „o sielankach i elegii," „o dziełach dramatycznych" itp.

Wykład właściwy dzieli autor na dwie główne części, z których pierwsza podaje nam ogólne zasady poezyi wraz z teoryą wierszowania polskiego, druga zaś rozbiera szczegółowo rodzaje i odmiany utworów poetyckich, przytaczając zarazem w wybornych streszczeniach lub obszernych wyjątkach wiele najwybitniejszych arcydzieł Muzy rodzimej i obcej.

Przedstawianie ważniejszych odmian poezyi w oświetleniu okazowo-historycznem, zatrzymywanie uwagi czytelnika nad szczegółową treścią takich utworów, jak epopeje staro-greckie i staro-indyjskie, jak „Boska komedya" Danta i „Król-Duch" Słowackiego, jak „Eneida," „Jerozolima wyzwolona," „Luzyada," „Herman i Dorota," „Pan Tadeusz," jak „Antygona" Sofoklesa (str. 310—324), „Koryolan" Shakespeare'a (str. 327—354) lub „Książe niezłomny" Kaldorona, podnosi wielce wartość dzieła, dającego czytelnikowi nie suchy wykład prozodyi, lecz roztaczającego przed nim szereg barwnych obrazów najszczytniejszych porywów ducha ludzkiego w jego dążeniu do wcielenia w kształty najlepsze odwiecznej idei piękna.

Każdy rodzaj, każdą odmianę poetycką, każdy nawet układ stroficzny (tercyna, sonet, oktawa itp.) przedstawia autor w ich rozwoju dziejowym, zwracając zwłaszcza uwagę na zmiany, którym ulegały one w literaturze ojczystej. Mamy tym sposobem w części pierwszej, obok innych zajmujących rozdziałów, ciekawy zarys dziejów wiersza białego w piśmiennictwie polskiem, krótką historyę oktawy naszej od Piotra Kochanowskiego do Słowackiego, wreszcie obszerny pogląd ogólny na dzieje naszej mowy wiązanej, przyczem autor, uwzględniwszy zasługi na polu wierszopisarstwa ojczystego Jana z Czarnolasu, Szymona Szymonowicza, Piotra Kochanowskiego, Andrzeja Morsztyna, Potockiego, Krasickiego, Trębeckiego, Karpińskiego, Kniaźnina, Mickiewicza, Zaleskiego i wielu innych, dochodzi do utartego już dziś w sferach wykształconych poglądu, że najwyższy punkt rozwoju w historyi wiersza polskiego przedstawia Juliusz Słowacki, który „nie spożytkował wprawdzie wszystkich zasobów rytmicznych mowy ojczystej, ale nauczył je odkrywać i przetapiać na czyste złoto artyzmu pisarskiego."

W części drugiej zwraca przedewszystkiem uwagę różna od rozpowszechnionej dziś zasada, przyjęta przez autora do klasyfikacyi utworów poetyckich. Nie wdając się w szczegóły, po które odsyłamy czytelnika do wartościowej pracy Bema, zauważymy tu tylko, że wszystkie utwory poezyi dzieli autor na podmiotowe, względnie przedmiotowe i przedmiotowo-podmiotowe, zależnie od różnych stopni przejawu ducha osobistego w utworze literackim. Nie widząc zasadniczej różnicy między t. zw. utworami epickimi i dramatycznymi, które zresztą wyodrębnione zostały w grupy osobne, wszystkie rodzaje płodów poetyckich odnosi autor do czterech głównych kategoryj: poezya liryczna podmiotowa i przedmiotowo - podmiotowa, poezya dydaktyczna, poezya epiczna przedmiotowa i podmiotowo - przedmiotowa i takaż poezya dramatyczna. Dwa te ostatnie działy opracowane zostały najszczegółowiej, przyczem poezyę epiczną dzieli autor na opowiadania fantastyczne (baśń, legenda, ballada i romanca, wielki epos fantastyczny); opowiadania, osnute na tle podań dziejowych i życia współczesnego (śpiew historyczny i duma, powieść poetycka, wielki staroklasyczny epos dziejowy i jego podobizny, nowożytny epos narodowy — sielanka powieściowa i gawęda poetycka) (oraz epos w formie niewiązanej (nowela, powieść współczesna i historyczna). W poezyi dramatycznej natomiast odstąpił autor nieco od przyjętej przez siebie zasady, pozostając wierny dawnemu podziałowi utworów tej kategoryi na tragedyę (starożytną i nowożytną), dramat, komedyę i krotochwilę czyli farsę.

Mniejsza jednak o podziały i klasyfikacye, przy których „Panu Tadeuszowi," cenionemu zresztą wysoko przez Bema, dostaje się za skromna stanowczo nazwa „okazałego prototypu *gawędy poetyckiej*" (autor odmawia temu wspaniałemu wytworowi epiki polskiej miana epopei, ze względu na brak w nim postaci kobiecej, któraby była towarzyszką i czynną współpracowniczką mężczyzny oraz ogniskiem życia rodzinnego); mniejsza o nazwy poszczególnych działów i podziałów. Ważnem jest przedewszystkiem to, że każdą z tych przegród zdołał autor zapełnić aż po brzegi treścią ciekawą i pouczającą, podaną w formie wytwornej, że wzbogacił piśmiennictwo nasze dziełem pięknem i pożytecznem, jakiego nam brakowało oddawna. A pod względem bogactwa i urozmaicenia treści niewiele książek dorównywa „Teoryi poezyi polskiej" p. Bema. Dość przypomnieć choćby takie rozdziały, jak: „Wielki staroklasyczny epos dziejowy i jego podobizny," „epos w formie niewiązanej" (gdzie autor zapoznaje nas mniej lub więcej szczegółowo i barwnie z treścią i charakterem „Dekameronu," „Don Kichota," „Nowej Heloizy," z „Przypadkami Doświadczyńskiego," z „Panem Podstolim," „Malwiną," szeregiem utworów Walter Scotta, Niemcewicza, Kraszewskiego itd. itd.), albo „tragedyę i zbliżone do niej formy poematu dramatycznego," lub wreszcie ogromnie ciekawe w szczegółach zestawienie „Pana Tadeusza" z „Odyseą."

W części pierwszej wyjaśnia autor w sposób zrozumiały i przystępny istotę, zadanie i treść poezyi, różnicę między prozą i poezyą, między talentem i geniuszem, stara się wytłomaczyć na przykładach „Lilli Wenedy" i „Ojca zadżumionych" genezę natchnienia i pomysłu poetyckiego, wreszcie bardzo szczegółowo omawia formę poezyi, poświęcając blizko sześćdziesiąt stron zawiłej trochę sprawie wierszowania polskiego.

Jeżeli nawet niektórym wyrazom, jak drapichróst, lamignat, Białystok itp. przypisuje przytem niesłusznie dwa akcenty, na pierwszej i ostatniej zgłosce, zamiast jednego w środku; jeżeli nie docenia wartości rozmiaru jambicznego w nowszej poezyi polskiej i nie zwraca dostatecznej uwagi na często dosyć, u dawniejszych zwłaszcza poetów naszych, usterki przeciw melodyjności wiersza, wypływające bądź ze zbiegu jednozgłoskowych wyrazów, bądź ze zbytniego nagromadzenia w jednym wierszu trudnych do wymówienia razem spółgłosek, bądź wreszcie ze zbieżności jednakowo brzmiących sylab, wprowadzających do dykcyi zabawne jąkanie się: to drobne te braki, które wymieniamy tu z obowiązku sprawozdawczego, okupione są stokrotnie pierwszorzędnemi zaletami książki Bema i na szali jej wartości nie zaważą więcej, niż drobny pyłek przelotny, który lada podmuch zwiać może.

Władysław Bukowiński.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

J. A. Kisielewski: *Karykatury*, studyum sceniczne w 4 aktach, nagrodzone na konkursie imienia I. Paderewskiego. — Sofokles: *Edyp król*, tragedya, tłomaczenie Kazimierza Kaszewskiego.

Jest to rzecz doskonała. Urzędowi miernicy dzieł scenicznych, przyłożywszy swe łokcie i stopy stwierdzili, że ta i owa scena jest zbyt długa; znaleźli się „radcy pana radcy," którzy radzili autorowi, w jaki sposób powinien zmienić zakończenie. Najpierw owe oceny i rady są nader wątpliwej natury, powtóre — nie o to chodzi. „Karykatury" są dramatem środowiska. Jak wygląda to środowisko?

Bohaterem sztuki jest ni mniej ni więcej, tylko — młodzież krakowska. Pamiętamy tę młodzież w różnych odmianach; pokolenia przesuwają się w pamięci naszej, jak w kalejdoskopie. Zawsze w niej była szczerość, nieraz bezczelna, ale szczerość. Szczerym był każdy Ikar, który na skrzydłach Młodości wzbijał się nad mury wszechnicy; szczerym był każdy Strachajło lub Sobek, myślący jedynie o swoim losie. Wtem pojawiło się inne pokolenie. Sobek zapragnął się ucharakteryzować na Prometeja — i stworzył naturalnie karykaturę. Na ten typ nastawił Kisielewski aparat fotograficzny swojej duszy i uchwycił go znakomicie.

Nowicki śpiewał o swojem pokoleniu: Lecz cóż my winni, że z błota i kału wciąż z feniksowym uporem powstajem, gdy zimny rozum zbyt nam piersi ochłodzi — i tęskni serca, pędu, wiru, szału, płomiennym nurtom świata nieść się dajem!" Jest to świadome dążenie — w górę. Kisielewski widzi inne pokolenie, pokolenie dekadencyi, świadome dążenie — w dół. Prometej nie jest trybunem ludu, lecz trybunem kawiarń, nie pragnie ogrzać ludzkości, bo ludzkie cierpienie jest dla niego co najwyżej dobrym tematem, często boli go głowa, ale nigdy serce, a na charakterze nie umie się poznać, jak na monecie, która wyszła z obiegu.

Dramat Kisielewskiego łączy się jednak nietylko z historyą młodzieży krakowskiej, ale trochę z historyą naszej młodzieży wogóle. Była w modzie filozofia Hegla i mieliśmy „Heglistów," których skarykaturował Korzeniowski. Mamy obecnie dekadentów i naśmiewa się z nich Kisielewski. I jedni i drudzy należą do kategoryi pospolitych komedyantów, bo pierwsi wcale nie byli mędrcami, a drudzy tylko pozują na „nadgniłych." Oni są, przepraszam za wyrażenie, djabelnie zdrowi. Kto jest w stanie spędzić tyle nocy w zadymionych kawiarniach i tyle lat żeglować „po oceanie czarnej kawy" (wyrażenie autentyczne), pochłonąć tyle likierów i mieć na sumieniu często gęsto tyle Zoś i Stefek, dać sobie radę z ich matkami i ojcami, ten jest doprawdy „satanicznie" zdrów i nie tyle jest dekadentem, ile zwyczajnym nygusem, nieraz nawet bardzo oczytanym i zdolnym, ale nygusem. Kisielewski przedstawił karykatury: ale za to dał nam Zosię, która na szali charakterów przeważa całą tę dekadencką kompanijkę.

Kocha Antosia, idzie do niego, jest mu wierną jak pies i jak pies w oczy patrzy, by odgadnąć jego pragnienia. Mają dziecko, bieda w domu: nie skarży się ani jednem słówkiem. Antoś poczyna się dusić w tej atmosferze szczęścia. Zosia znosi wszystko cierpliwie i gotowa nawet do największego poświęcenia, na jakie się miłość zdobyć może, do opuszczenia ukochanego, aby mu „nie stać w drodze." Ale Antosiowi podoba się już Stefcia. Wtedy Zosia wie, co uczynić, a nie waha się ani chwili. Porywa dziecko i ucieka w świat, nie chcąc pozostać dłużej pod jednym da-

chem z szubrawcem. A Antoś, prawdziwa karykatura honoru, w tak dramatycznej scenie myśli tylko o tem, że ojciec Stefki nazwał go podłym, a on mu za to w twarz nie dał... czy nie mógł dać.

To zakończenie jako studyum charakteru jest znakomite i próżne są rady „rudców" Kisielewskiego. Radę skierowałbym może należało w stronę p. Żelazowskiego, który nie uwypuklił należycie myśli autora, choć zresztą grał bardzo, bardzo dobrze. Wogóle gra aktorów i wystawa zasługuje na szczery poklask, a p. Tekla Trapszówna wywiązała się z zadania po mistrzowsku.

Talent Kisielewskiego bujny, świeży, oryginalny. Ma on duże poczucie sceny. Żywimy nadzieję, że ze źródła tego tryśnie cały szereg dzieł dramatycznych, na które społeczeństwo nasze tak skwapliwie czeka.

Dnia 8 grudnia grono amatorów pod kierunkiem p. Gawalewicza odegrało w Dolinie Szwajcarskiej arcydzieło literatury starogreckiej „Edyp król." Przedstawienie poprzedził krótki, lecz treściwy wykład p. Ignacego Chrzanowskiego. Usiłowaniom tego rodzaju należy gorąco przyklasnąć. Słyszałem głosy, zarzucające p. Chrzanowskiemu, że wykład swój trzymał w tonie zbyt popularnym; zdaje mi się jednak, że miał racyę, gdyż publiczność warszawska przecenia swoje wiadomości i nieraz należy jej przypomnieć dyskretnie to, co się wykłada w siódmej lub ósmej klasie gimnazyalnej, tem bardziej, że połowa rodzaju męzkiego uczęszcza obecnie do szkół realnych, a połowa rodzaju ludzkiego wogóle, tj. kobiety, jeszcze mniej miewają do czynienia z literaturą starożytną. Pan Chrzanowski nie skorzystał z mównicy dla popisania się erudycyą, lecz chciał być użytecznym. Takie „konferencye" są nader pożądane i należałoby je urządzać częściej. Przemówienie p. Chrzanowskiego stawiłbym za wzór wszelkim następnym, zwłaszcza że było ożywione szlachetnym zapałem i usposobiło należycie publiczność do wysłuchania arcydzieła.

Przechodzimy tedy do sprawy wystawienia „Edypa króla" i gry. Pisma obsypały amatorów i reżysera pochwałami — i słusznie. Gdyby bowiem wystąpiły z krytyką, nawet możliwie oględną, publiczność mogłaby się zniechęcić a amatorowie stracić odwagę do dalszej pracy. Sądzimy wszelako, że krytyka nawet surowa w tego rodzaju organie, jak *Prawda*, nie stanie się powodem tak zgubnych następstw, a poglądy nasze wygłosić musimy choćby tylko dlatego, że z materyału, jakim rozporządzał reżyser, dałoby się zrobić bez porównania więcej, niż on zrobił. Dowodem tego wystawienie „Dzikiej kaczki" pod reżyseryą p. Śliwickiego. Ale p. Śliwicki służyć pragnął sztuce: p. Gawalewicz natomiast porobił niedorzeczne ustępstwa modnej publiczności — i pomylił się. Wykonanie właściwe utworu orkiestrowego zależy w bardzo małym stopniu od skrzypków i fagocistów: ton i duszę nadaje dyrygent. To samo w dramacie. Reżyser nadaje ton. Tymczasem Gawalewicz wniósł do greckiej tragedyi swoją mieszczańską duszę. Zamieniwszy teatr grecki na Szekspirowski, kazał grać po Gawalewiczowsku. Uruchomienie chóru, zbiorowe chwytanie się za głowę, zbiorowe gesty rozpaczy i zadumy, musiały wywołać wrażenie komiczne. Gwar tłumów, przypominający dom modlitwy, nie mógł się udać, gdyby nawet znacznie lepsze siły występowały. Trzeba było tragedyę grać tak, jak ją grali Grecy, których chór był symbolem ogółu, podobnie jak w „Ślepcach" Maeterlincka niewidomi są symbolem Ludzkości. Sofokles nie napisał sztuki naturalistycznej, lecz poemat koturnowy, więc i tłum w jego dziele nie jest zwyczajnem zbiegowiskiem, ale zbiorową wyszlachetnioną osobą, pełną powagi i tragicznego patosu. Przechodzimy do gry poszczególnych amatorów. Przedewszystkiem należy zaznaczyć, że wszyscy zanadto „grali." Po co? Amatorom, których gesty są zazwyczaj niewyrobione, właśnie łatwiej przyszłoby grać spokojnie, tylko należało ich ustawić i umodelować. Wskutek owej modnej ruchliwości niektóre gesty, jak np. p. Łąckiego, przypominające wysoką tercyę szkoły fechtunkowej burszów niemieckich, powtarzały się i powtarzać się musiały w braku innych, choćby gorszych. Starcy kroczyli po scenie, jak gdyby cierpieli na uwiąd mlecza pacierzowego. Po co? Zdawało się, że przynajmniej deklamacya będzie stała na wysokości zadania. Ale i pod tym względem chybiono. Pierwszą zasadą deklamacyi jest wymawianie niezmiernie powolne, wyraźne, z uwzględnieniem wszystkich liter, nawet litery „l" i „r" a z wyłączeniem wszelkiego bełkotania, którego to wyrazu używamy tu w znaczeniu ścisłem. Niektórzy amatorowie posiadają zupełnie wadliwą wymowę, której po kilku lekcyach mogliby się pozbyć. W deklamacyi ich brak było na ogół nuty szczerości, uczucia; reżyser nie rozpętał im skrzydeł. Ustępy, nacechowane żywem współczuciem, były wygłoszone gniewnie; może powodem tego była drżączka? Trudno zbadać. Dyalogi dwuwierszowe wychodziły zbyt po sztubacku. Nie przeczę, że Sofoklesowski dyalog jest trudny, ale nie nadto trudny na siły naszych amatorów. Natomiast wypada nam podnieść deklamacyę i grę p. Mirskiego w roli starego sługi, któremu według naszego mniemania należy się palma pierwszeństwa, następnie p. Kosmowskiej w roli Jokasty, która może nadto wzorowała się na p. Lüdowej, wreszcie p. Hoffmana w roli Tyrezyasza, ale tylko pod względem dykcyi, bo w grze przesadzał. Niechaj mi panowie amatorowie darują, że ich tak surowo sądzę, ale czynię to dlatego, ponieważ jestem głęboko przekonany, że mogliby bez porównania lepiej grać i ponieważ tylko na ich grze mogę wykazać błędy reżysera, o którym z niewytłomaczonych dla mnie powodów głoszą jego przyjaciele, że jest niezrównanym kierownikiem scenicznym.

Andrzej Niemojewski.

MALARSTWO.

Obcy i swoi.

I.

Obca sztuka zagląda do nas rzadko. Warszawa nie nęci zagranicznych przedsiębiorców i handlarzów: publiczność nasza dopiero się uczy *odwiedzać* wystawy, ale *kupować* obrazów i rzeźb jeszcze zupełnie nie umie. Ludzie zamożni potrafią u nas wyrzucać setki i tysiące rubli na klejnoty, brylanty — te zjawiska szczątkowe epoki, w której rozwój umysłowy naszych przodków odpowiadał mniej więcej obecnej kulturze Hotentotów — lecz zapłacić kilkadziesiąt, nie mówię już, kilkaset rubli za obraz — to niepotrzebny „zbytek, na który może sobie pozwolić tylko magnat." Że zaś takich „magnatów," czyli, poprostu mówiąc, ludzi ucywilizowanych mamy bardzo niewielu, więc... dotąd daleko lepiej być u nas lichym jubilerem, niż wielkim artystą. A jaki tego skutek? Zagranica, jeśli się już zjawi u nas, to z całym składem t. zw. w żargonie artystycznym „kiczów," czyli rzeczy drobnych, o bardzo nędznej wartości artystycznej, bardzo niskiej cenie, malowanych i wystawianych na sprzedaż, przystosowanych do gustu nawet warszawskich nabywców. Handlarz, który obecnie wystawił w Salonach Zachęty cały tłum płócien malarzów monachijskich i wiedeńskich, na zapytanie, czemu nie sprowadza do nas prawdziwie cennych rzeczy, odparł z naiwną szczerością:

— Proszę pana, pomimo licznie odwiedzającej wystawę publiczności, pomimo że zarząd Zachęty opłaca koszty cła i miejsce daje darmo, bilety wejściowe ledwie pokryją wydatki na przewóz i opakowanie. No, a mój zarobek? Mógłbym go mieć tylko ze sprzedaży obrazów. A cóż kupią w Warszawie?

Machnął pogardliwie ręką. Widocznie opinię mamy w Europie o tyle ustaloną, o ile mało dla nas pochlebną.

Więc i na obecną wystawę zagraniczną należy patrzeć, jak na wędrowny sklepik obrazów. Ozdobę jej stanowią przepyszne kartony Pausingera. Malarz ten jest Fytom i Snydersom o duszy nowożytnej. Dorównywa niemal tamtym znajomością form ciała i duszy zwierząt leśnych, przerasta ich jednak o całe dwa wieki poczuciem natury. U tamtych zwierzę stanowi jedyną treść obrazów, pejzaż jest tylko tłem, tak pozbawionem charakteru i prawdy, że mógłby być zastąpiony ścianą lub draperyą bez szkody dla dzieła. U Pausingera zaś zwierzęta są uzupełnieniem krajobrazu i jeśli nie „sztafażem" jedynie, to w każdym razie nie zabijają go zupełnie. Dzięki temu jego kartony są to żywcem z natury wyrwane kawałki kniei, łąki lub hal górskich, przeniesione na płótno lub papier. Rzeczy swoje rysuje on węglem, który w palcach jego nabiera wprost koloru, do tego stopnia wrażliwem jest oko Pausingera na rozkład i natężenie świateł i cieni. Płótna, malowane olejnemi farbami, ustępują stanowczo pierwszeństwa rysunkom węglowym: są one jak gdyby przybrudzone w kolorze przez węgiel i nieco jednostajne w tonie.

Po za Pausingerem niewiele jest rzeczy prawdziwie ciekawych na wystawie zagranicznej. Nawet artyści tej miary, co Walter Firle, tylko gorsze rzeczy przysłali. Firlego „Innocentia," popiersie niebrzydkiej dziewczynki z lilią w ręku, dość mdłe, banalne i nawet nieimponujące techniką, i dziewczyna holenderska, karmiąca ptaki, dobrze narysowana, lecz jednostajna w kolorze, nie dają zupełnie pojęcia ani o stopniu, ani o rodzaju jego talentu.

Do najlepszych rzeczy należą pejzaże. Mamy tu bardzo ładną „Ciszę wieczorną" Splitgerbera, pełną nastroju, o doskonałej harmonii złotawych, jeszcze ciepłych tonów na szczytach drzew i domu, oraz chłodnych — u dołu, kędy się już rozwłóczą martwe cienie, zwiastuny zbliżającej się nocy; mamy „Późną jesień" Burgela, bardzo dobrą w kolorze i bardzo powietrzną; mamy taki technicznie skończony „Zbiór siana" Schleicha, drobiazg wykonany z mikroskopijną dbałością o szczegóły; mamy ładny i prawdziwy „Wieczór zimowy" Duńczyka Andersena-Lundby i słabszy tegoż „Poranek zimowy," a po za tem — cały szereg niczem nieimponujących krajobrazów i krajobrazików, wymienionych już tu: Splitgerbera, Burgela i niewymienionych: Finka, Wengleina i in.

Do rzeczy ciekawszych należą: „U antykwaryusza" i „Chemik" panny, czy pani Wirth, zdaje się, Niemki z pochodzenia, lecz przebywającej stale w Anglii, gdzie pono cieszy się znacznym rozgłosem. Obie wspomniane jej rzeczy, od których tchnie jakimś archaizmem holenderskim, są technicznie bardzo dobre, wybornie oświetlone, o przedziwnie wystudyowanym „entourage'u" i martwej naturze. Człowieka potrafi p. Wirth namalować, dowodem czego — jej „Chemik." Greka Jakobidesa „W kąpieli," przypominające znaną grupę terakotową, „You dirty boy," reklamę pewnej angielskiej fabryki mydła, ma bardzo dobry wyraz twarzy płaczącego i krzyczącego dzieciaka i dobrze naryso-

wanąstaruszkę; kolorystycznie jednak jest to rzecz słaba.

Wogóle cała ta wystawa zagraniczna imponować nam nie może niczem, chyba tu i owdzie doskonalszą techniką. Nic w niéj niema świeżego, nic szczerze oryginalnego. Lecz na zasadzie tego zbioru obrazków nie należy jeszcze urabiać sobie sądu o współczesnej sztuce niemieckiej. Są to odpadki tegorocznej, jakościowo dość lubogiej, wystawy urzędowej w monachijskim Pałacu Szklanym, wystawy daleko mniej ciekawej, niż tamtejsza „secesya," a już znacznie ustępującej Wystawie sztuki niemieckiej w Dreźnie. Może kiedyś, gdy cywilizacya głębiej nam w mózgi sięgnie, będziemy w stanie poznawać sztukę europejską u siebie w domu. „Błagam, niechaj żywi nie tracą nadziei..."

* * *

Ci goście mogą nauczyć malarzy naszych szacunku dla techniki — na to zgoda, duszę jednak mamy nie gorszą, niż oni, a może i lepszą przez to — że własną. Proszę przejść tylko do innych pokojów Zachęty. Z różnych ścian wyrywa się ona miejscami do widza i nieraz w niego świeżą falą uderza. Byleby tylko to nie była bardzo elegancka, bardzo modnie ubrana i uperfumowana dusza Mordasewicza. Malarz ten „wlazł" w elegancyę i brnie w niej coraz głębiej do tego stopnia, że niedługo za całą wartość jego portretów starczy gorszy lub lepszy krój, większa lub mniejsza dobroć materyi odtwarzanych przez niego sukien. Staje się to w nim już wprost przerażającem.

Nie — duszy szukajmy gdzieindziej. Ma ją w wielkim stopniu młody malarz, którego niezło, lecz nic jeszcze niewyrażające studya pojawiły się u nas po raz pierwszy przed paroma laty; jest to Maryan Trzebiński. Wystawił on teraz kilka motywów z Florencyi, bardzo odczutych i doskonale oddanych. Czy to będzie „Plac Signoria," skąpany w mroku, w który wsiąka żółte światło latarni, czy płonący słońcem fragment „Z przedmieść Florencyi," czy wązka o doskonałej perspektywie uliczka z „Dawnym pałacem cechu jedwabników" — we wszystkiem czuć życie, prawdę, naturę. Tak szczęśliwie debiutuje na scenie sztuki zazwyczaj tylko prawdziwy talent.

W tem, jak malarz — artysta, nie fotograf — przedstawia naturę, odzwierciadla się dokładnie jego dusza; jest to twierdzenie nienowe i niewymagające chyba dowodów: dość porównać Ruysdaela z Claude Lorrainem lub Rousseau, Boecklina z Milletem. A jeśli to jest prawdą, to o Chełmońskim powiedzieć można, że zasadniczym tonem strun jego duszy jest melancholia. Oprócz jednego drgającego bujnem wesołem życiem i słońcem obrazu „Do kościoła," nie namalował, zdaje się, ani jednego pejzażu, z któregoby nie wiała bezgraniczna melancholia. Nawet przez taki utwór, jak wystawiony obecnie „Pogoda," przewija ona swą szarą nić. Bo ta „Pogoda" nie kąpie się w złotej fali słonecznej, przeciwnie — słońca tu wcale niema. Jest to jeden z tych dni letnich, kiedy niebo całe przysłonięte jest pajęczo cienką gazą mgły, w powietrzu nie drgnie najcichsza fala wietrzyku, a przez pola i łąki sunie jakaś bezbrzeżnie smętna a zarazem kojąca cisza. Ta cisza właśnie spadła na przepyszną całą w tęcze kwiatów ubraną łąkę, nad którą unosi się ptak, wypatrujący widocznie zdobyczy. Przestrzeń, powietrze, natura, jak to u Chełmońskiego.

Cały szereg krajobrazów wystawił w bocznym salonie Zachęty Michał Wywiórski. Są to przeważnie szkice, ledwie podłożone „na surowo," jeśli się tak wyrazić można, bo farba w nich nie zdążyła prawie nigdzie jeszcze przetworzyć się w prawdziwą naturę. Chodziło w nich widocznie artyście o chwytanie oddzielnych momentów, nawet części momentów, tu o jakiś efekt światła, tu o jakiś ton, tam o jakąś formę i t. d. A we wszystkich tych surowych szkicach znać, że malarz przyrodę rozumie i że ona go prawdziwie zajmuje; to też gdzieniegdzie, jakkolwiek też szkicowo, szczerze odtworzyć ją potrafi. Jest tam tonąca w śniegu chata wiejska, obok której grzeje się widocznie stadko kur, bardzo dobra; od obrazu tego wieje mrozem.

Michał Mutermilch.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚCI. A. Niemojewski: „Prometeusz," cztery nowele (94 str.). Borkowski.

— K. Chłędowski: „Dwie wizyty w Anglii." Dodatek do *Gaz. polsk.*

— I. de la Brete: „Mój wuj i mój proboszcz," tłom. A. Callier. „Bibliot dzieł wybor."

HISTORYA. Sz. Askenazy: „Przymierze polsko-pruskie" (257 str.). Lwów, Tow. wydawnicze.

POEZYE. W. Sterling: „Poezye" (107 str.), Kraków.

— S. Syrokomla: „Wybór pism," wyd. drobne (482 str.), Gebethner i Wolff.

— J. Machar: „Magdalena," przeł. A. M—ski, (255 str.), *Głos.*

— Z. Dębicki: „Noce bezsenne" (135 str.). Sadowski.

— Dante: „Czyściec," przekł. Porębowicza, wyd. miniaturowe. Gebethner i Wolff.

— Deotyma: „Gonitwy w dolinie Prądnika," baśń dziejowa (128 str.). Wilno, Zawadzki.

KRYTYKA. E. Przewóski: „Krytyka literacka we Francyi," t. II (214 str.). Lwów, Altenberg.

ETYKA. W. Sheldon: „Ruch etyczny," przeł J. Potocki i W. Kozłowski (446 str.). *Przegl filozof.*

ESTETYKA. J. Ruskin: „Wybór pism," I „Malarstwo i poezya," tłom. A. Lange (111 str.). W. Okręt.

PAMIĘTNIKI. „Pamiętniki gen. Wysockiego" z czasów kampanii węgierskiej. „Bibl. dzieł wyb."

MEDYCYNA. M. Flaum: „Ciało człowieka," wykład poglądowy anatomii, wyd. II.

— E. Biernacki: „Chałubiński i obecne zadania lekarskie" (308 str.). Wyd. *Przeglądu filozof.*

FILOZOFIA. J. Payos: „Kształcenie woli," tłom. J. Potocki. Wyd. 2 (273 str.), *Głos.*

MONOGRAFIE. B. Koskowski: „Finladya" (224 str.), *Głos.*

KALENDARZE. „Strzecha rodzinna," Koliński.

— „Kalendarz powszechny" T. Paprockiego.

POEZYE

Pieśń żeglarzy.

Pali się słońce, pali,
Płoną blaski na fali,
Złoci się bezgranicznie zielona morza toń.
Obszar głuchy i niemy,
W dal płyniemy, płyniemy.
Złote słońce, ku tobie podnosimy skroń!

Nasz śpiew, nasz śpiew
Wytryska z płuc, jak krew.
Wiatr go bierze na piersi i słońcu podrzuca.
Słyszycie: tam na toni całej
Tłumy fal odpowiedziały,
A w rytm mu grają sennie srebrne morza płuca.

Droga nasza daleka,
Gdzieś tam Śmierć na nas czeka.
Hej, daleko, daleko cel pragniony nam zbiegł!
Od Boga, czy do Boga,
Kędyż wiedzie nas droga?
Kędyż wyśniona wyspa, obiecany brzeg?

Na dno, na dno,
Gdzie hydry życia śpią,
Na dno, olbrzymy młode, kowale świata kuźni!
Niech każdy skarb swój podźwignie,
Dopóki krew nie stygnie,
Dopóki mózg nie pęka, a gardło nie bluźni!

Już morze srebrnopienne
Zamyka oczy senne —
I krwawe blaski mdleją — i cisza schodzi już.
Precz łódź! Niech w dal uchodzi!
Popłyniem w świat bez łodzi —
Na dno, żeglarzu młody, na dno, kochanku burz!

Na dno, na dno,
Gdzie burz orkany wrą,
Gdzie perły drzemią w cieniu koralowych drzew.
Tam popłyniem bez steru, bez kompasów-mew!
Stamtąd nasz śpiew
Wytryśnie z płuc, jak krew!

Władysław Sterling.

SPRAWY EKONOMICZNE

KONKURENCYA AMERYKAŃSKA
NA RYNKU PRZEMYSŁOWYM

II.

Wykazaliśmy w artykule poprzednim, że w ostatniem dziesięcioleciu zaszła rdzenna zmiana na rynku wszechświatowym: rzeczpospolita amerykańska, będąca dotąd dogodnem ujściem dla towarów przemysłowych, staje się krajem, którego wywóz jest większy od przywozu.

Jak wspomnieliśmy, pierwszy wynosił w r. 1898/9 — 338,67 milionów dolarów. Na sumę tę składają się rozmaite pozycye, najważniejszemi z nich są następujące: Wywóz stali i żelaza 93,12 mil. dolarów; w roku zaś poprzednim wywóz tylko 70,41 mil. dol., a w porównaniu z r. 1893/4, a zatem w ciągu lat pięciu, potroił się. Wartość wywożonych maszyn przedstawiała w r. 1898/99 — 18,72 mil. dol., w roku poprzedzającym — 13,34 mil. Jedną z ważniejszych pozycyj zajmują tu lokomotywy, których wywieziono w r. 1897/98 — 468, w 1898/99 — 517. Z tej liczby poszło do Rosyi 99 sztuk, do Japonii 69, do Chin 61, do Meksyku 59, do Kanady 50, do Indyj wschodnich 36, do Szwecyi i Norwegii 23, do Brazylii 20, do Indyj zachodnich 14, do Afryki 11 i do Anglii 25. Jest to fakt niezmiernie znamienny: Stany Zjednoczone dostarczają lokomotyw do klasycznego kraju wyrobu maszyn — Anglii! Hegemonia „królowej mórz" rzeczywiście zaczyna być mocno zagrożoną. Lecz nietylko wyrób maszyn wzrasta. Stany Zjednoczone stają się bardzo niebezpiecznym współzawodnikiem co do wyrobów żelaznych wogóle, jak świadczy przykład następujący: australska kolonia Victoria w roku 1898 rozpisała konkurs na relsy stalowe. Podano pięć ofert — Krupp z Niemiec, główny zakład Carnegie Company w Anglii i dwie amerykańskie: najniższą okazała się deklaracya zakładu „Pensylwania and Maryland Company." To współzawodnictwo Ameryki w dziedzinie wyrobów żelaznych nabiera szczególnej doniosłości, jeżeli zważymy, że w obecnym okresie rozwoju przemysłowego, kiedy chodzi o zaszczepienie produkcyi kapitalistycznej w krajach zamorskich, w Chinach, Afryce, Australii, zapotrzebowanie żelaza i jego wyrobów przeważa na rynku wszechświatowym. Bo pierwszem zadaniem jest tam budowanie dróg żelaznych. W Chinach cała polityka państw europejskich obraca się około uzyskania koncesyi na budowę kolei, które mają dopiero otworzyć ten rynek olbrzymi dla państw przemysłowych. To samo w Małej Azyi. W Afryce Cecil Rhodes powziął plan budowy olbrzymiej linii z Kapsztadu do Kairu, co nie jest mrzonką bynajmniej, gdyż na terytoryum angielskiem roboty postępują już w szybkiem tempie.

Kiedy koleje umożliwią dostęp do rozległych krain, które Europejczycy dopiero osaczyli od strony wybrzeży morskich, rozpoczyna się tam produkcya, powstają fabryki, przetwarzające dowożone materyały surowe. Przedewszystkiem więc rodzi się tam silne zapotrzebowanie maszyn. Przypuszczać więc można, że popyt na żelazo i wyroby z niego wzrastać będzie przez całe dziesięciolecie. Dziś już przemysł żelazny zajmuje stanowisko dominujące, tkacko-przędzalniczy zaś, który panował w okresie najszybszego rozwoju przemysłowego Anglii, został usunięty na plan drugi. I otóż mocarzem w tej dziedzinie produkcyi stają się Stany Zjednoczone.

Na dowód niech posłużą cyfry następujące *):

Z e l a z o

	rok 1878: ilość ton	%	rok 1898: ilość ton	%
Anglia .	6,381,000	44,74	8,631,000	33,02
Stany Zjed.	2,301,000	16,13	11,774,000	24.21
Niemcy .	2.147,000	15.06	7,233,000	20,29
Francya .	1,521,000	10,67	2,534,000	7,11

S t a l

	rok 1878: ilość ton	%	rok 1898: ilość ton	%
Anglia .	1,063,000	36,14	4,665,000	19.33
Stany Zjed.	782,000	24,83	8,933,000	37,02
Niemcy .	489,000	16,63	5,779,000	23,96
Francya	313,000	10,64	1,573,000	6,11

A więc zarówno w produkcyi żelaza, jak stali Anglia musiała ustąpić pierwszeństwa rzeczypospolitej amerykańskiej! Wprawdzie i inne kraje, jak Niemcy i Francya, natężyły swoją wytwórczość w tej gałęzi (w Rosyi również widzimy olbrzymi rozwój, gdyż w r. 1878 wyprodukowano żelaza 417,000 ton, w roku zaś 1898 — 2,194,000), jednakże produkcya amerykańska wyprzedza wszystkie inne. Przytem rzeczoznawcy twierdzą, że wydajność kopalń rudy żelaznej w Stanach Zjednoczonych wprost nie ma granic.

Nie dość tego: inne gałęzie wytwórczości rozwijają się również z przerażającą szybkością. Weźmy bawełnę: Stany Zjednoczone były zawsze głównym dostawcą surowej, lecz produkcya miejscowa wskutek współzawodnictwa Anglii do r. 1870 była bardzo nieznaczną; wszakże w ostatnich dwu dziesięcioleciach stosunki zmieniły się bardzo, o czem pouczają cyfry następujące:

Wyprodukowano bawełny surowej rocznie:

w okresie	1871/80	2,059	milionów funtów
„	1881/90	3,154	„
„	1891/95	4,196	„
w roku	1896	3,592	„
„	1897	4,397	„

Natomiast zapotrzebowanie tkanin krajowych wynosiło:

w okresie	1871/80	668	mil. funt. rocznie
„	1881/90	1,015	„
„	1891/95	1,318	„
w roku	1896	1,311	„
„	1897	1,344	„

To też wywóz tkanin bawełnianych wzrasta niemal bez przerwy, wynosił bowiem:

w roku [illegible]	28,818,000	jardów
„ [illegible]	105,670 000	„
„ [illegible]	147,644,000	„
„ [illegible]	118,025,090	„
„ [illegible]	184,257,000	„
„ [illegible]	270,508,000	„

Prawie połowa tego wywozu przypada na Chiny, reszta na Amerykę południową i Australię. W czasie zatem, kiedy przemysł tkacko-przędzalniczy Anglii, który niegdyś zalewał cały świat swoimi perkalami, walczy rozpaczliwie o byt, w Ameryce północnej rozwija się on z bajeczną szybkością. I w tej dziedzinie Stany Zjednoczone z dostawcy materyału surowego przekształciły się na konkurenta przemysłowego Europy.

Wybitne stanowisko zajmują też Stany Zjednoczone w produkcyi naftowej. Jedynym poważnym współzawodnikiem jest tu Rosya, która wytwarza surowej nafty prawie tyleż, lecz znaczna jej część zostaje zużytą w formie surowej do opalania kotłów itp., w Stanach Zjednoczonych zaś cała niemal ilość podlega dystylacyi. W r. 1889 wywóz nafty oczyszczonej wynosił 502 miliony galonów, w r. 1998 — 824 miliony, a wartość całego wywozu produktów tego rodzaju wzrosła z 49,9 milionów dolarów na 62,6 milionów, pomimo znacznego spadku cen.

Poważne też miejsce zajmuje produkcya wszelkich konserw mięsnych, wędlin, serów itd. Wywóz tych produktów przedstawiał w r. 1889 wartość 104,1 mil. dolarów, w 1897 — 137,1 milionów.

Lecz i w takich gałęziach przemysłu, w których rzeczpospolita amerykańska nie korzysta z obfitych bogactw naturalnych, postęp jest znaczny. Tak np. wyrobów szklanych w r. 1888 przywieziono za 7.8 milionów dolarów, a wywieziono za 882,000 dol., w roku zaś 1897 przywieziono za 5,5 mil., wywieziono za 1,2 milionów: papieru i wyrobów z papieru w roku 1888 przywieziono za 5,4 mil., wywieziono za 1.1 mil., w roku zaś 1897 przywieziono za 3,1 mil., wywieziono za 3,3 mil.

Jednym z najważniejszych warunków rozwoju produkcyi kapitalistycznej jest ulepszenie środków komunikacyjnych. Że w Stanach Zjednoczonych budowa dróg żelaznych postępuje szybko, o tem wiadomo. Dla porównania podajemy kilka cyfr. Długość toru wynosiła w kilometrach:

	1870 r.	1890 r.
w St. Zjedn.	52,922	268,409
w Anglii	24,999	32.297
w Niemczech	19,575	42,869
w Rosyi	11,243	30,957

Najspieszniej budowano tam nowe drogi żelazne w czasie od 1880 do 1893 roku; w r. 1882 wybudowano 11,569 mil am. toru, w 1887 — 12,878 mil am.; w r. 1893 nastał niebywały „collapse“: towarzystwa kolejowe bankrutowały, akcyonaryusze stracili miliony. Wskutek tego w ostatnich latach budowa nowych dróg odbywała się w szczuplejszych rozmiarach. W roku 1895 wybudowano 1,519 mil, w 1896 — 1,698 mil. Jednakże to przesilenie minęło; zajęto się „uzdrowieniem“ interesu, bony i akcye przeszły w ręce zasobnych kapitalistów i obecnie ruch spekulacyjny kwitnie znów w najlepsze: w r. 1896 obrót „share'ami“ (tj. akcyami) i bonami (listami zastawnymi) towarzystw kolejowych na giełdzie w New-Yorku wynosił 406 milionów dolarów, w r. 1897 — 606 mil., w r. 1898—1,006 mil. W najbliższym więc czasie sieć kolejowa zostanie rozszerzoną olbrzymio, każda zaś nowa linia przyczynia się do wciągnięcia w obrót kapitalistyczny nowego terytoryum.

Z równą szybkością rozwija się żegluga morska. Ilość ton, jakie mogą pomieścić statki żaglowe i parowe, wynosiła: w roku 1870 — 4,247,000 w r. 1890 — 4,424,000, w 1897 — 4,769.000, a zatem w ostatnim, siedmioletnim okresie rozwoju przemysłowego cyfra ta wzrosła szybciej, aniżeli w poprzedzającym, dwudziestoletnim.

Patrząc na ten szybki rozwój przemysłu i handlu, sił produkcyjnych i sprawności konkurencyjnej, zadajemy sobie pytanie: jakie skutki w ustosunkowaniu politycznem, ekonomicznem i społecznem świata musi za sobą pociągnąć ta coraz groźniejsza konkurencya rzeczypospolitej amerykańskiej? Czy nie nastąpi dla przemysłu Europy to, co nastąpiło dla jej rolnictwa? Obecnie ruch przemysłowy i handlowy państw europejskich jest znowu „en vogue“; od 1895 r. mniej więcej panuje ożywienie ekonomiczne prawie niebywałe i dlatego takie wróżby niełatwo znajdują wiarę. Lecz pamiętać należy, że Europa zachodnia nie z własnych sił zdołała jeszcze zmódz przesilenie ekonomiczne. Ożywienie to nastąpiło po części z powodu otwarcia nowych znacznych rynków zbytu w Chinach, Japonii, Afryce południowej, po części zostało wywołane popytem na wytwory przemysłu wskutek tego, że Rosya i Ameryka północna, rozwijając u siebie przemysł i budując drogi żelazne, chwilowo wystąpiły ze zwiększonym popytem na wytwory zachodnio-europejskie. Ten zwiększony popyt wszakże nie może być stałym, skoro te ostatnie kraje, będące dziś odbiorcami, mają zamiar jutro zostać współzawodnikami na rynku wszechświatowym. Stany Zjednoczone zaś są konkurentem groźnym, ponieważ rozwój ich ekonomiczny odbywa się z tak wielką szybkością, wskutek bogactw przyrodzonych, oraz wskutek tego, że kraj ten, jakkolwiek był dotąd przeważnie rolniczym, miał wszakże tę wytwórczość rolniczą opartą na podstawach kapitalistycznych, co powoduje ogromną łatwość zastosowania się do nowych warunków. Odpowiedzą nam może, że te obawy są płonne, gdyż Stany Zjednoczone same muszą przechodzić cykle peryodyczne rozkwitu i zastoju w produkcyi, co jest prawem nieodmiennem kapitalizmu; że po obecnym okresie rozwoju niechybnie nastąpi wkrótce przełom. Ostatnia uwaga jest bezwarunkowo słuszna, jednakże dotąd przebieg był taki, że przesilenia w Stanach Zjednoczonych zawsze przybierały formę ostrą, gwałtowną, lecz były krótkotrwałe. Jest to zrozumiałe w kraju, w którym istnieje jeszcze taka możność rozrostu kapitalistycznego, każde przesilenie jest tylko środkiem usunięcia przeszkód dla dalszego rozwoju, które wnet wystąpi z nową siłą. Używając przenośni, powiedzielibyśmy, że przesilenia ekonomiczne w Stanach Zjednoczonych można porównać do burzy podzwrotnikowej, strasznej swą siłą niszczącą, lecz po której życie nabiera nowych sił; w starej zaś Europie przesilenia owe przybierają formę deszczu długotrwałego, który zgnoi zasiewy tak, że krótkie przebłyski słońca sprawiają ulgę, lecz nie mogą ratunku. Istnieje tedy obawa, że przyszłe kryzysy, powodując tak odmienne w Ameryce i Europie skutki, rozbiją w gruzy starą Europę kapitalistyczną. Czy wtedy geniusz ludów europejskich będzie dosyć potężnym, aby z gruzów tych wznieść gmach nowy?

Dr. J. B. Marchlewski.

*) Dane czerpiemy z rozprawy kompetentnego znawcy przemysłu żelaznego, kierownika wielkich zakładów hutniczych w Ameryce, James M. Swonk, umieszczonej w ostatniem sprawozdaniu „Geological Departament.“

W DALI.

Lublin. Zarząd miasta Lublina stara się u władz o podwyżkę płac 27 urzędników magistratu o ogólną sumę 3,630 rb. Etat ten ustanowiono w r. 1880, od tego jednak czasu ceny mieszkań i artykułów spożywczych poszły w górę, zwiększyła się także praca urzędników i dochody miasta. A mianowicie wynosiły: W r. 1880 kapitał miejski zapasowy 31,595 rb., kapitał m. żelazny 49,470 rb., dochody miejskie 65,043 rb. W r. 1880 ludności stałej było 26,559, niestałej 6,227, nieruchomości zaś 627. W r. 1898 kapitał miejski zapasowy 52,375 rb., kapitał m. żelazny 99,948 rb., dochody miejskie 119,537 rb.; ludności stałej 37,368, niestałej 18,740, nieruchomości 1,055.

Kielce. Kasa przemysłowców kieleckich, zgodnie z okólnikiem kancelaryi kredytowej ministeryum skarbu, zamieniona będzie na Towarzystwo wzajemnego kredytu. Obok tej instytucyi powstanie w Kielcach także Kasa oszczędnościowo-pożyczkowa. Zadaniem pierwszego będą większe operacye bankowe, zadaniem drugiej —

gromadzenie drobnych oszczędności i udzielanie kredytu drobnego w wysokości do 300 rubli. *Gaz. kiel.* wzywa gospodarzy, aby służbę swoją zachęcali do oszczędności i do składania zaoszczędzonego grosza w nowej kasie.

Petersburg. Senat rozstrzygnął sprawę bankiera warszawskiego, Rothmühla o napisy na szyldzie. Policya żądała, ażeby właściciel kantoru bankierskiego zmienił na nim napis „M. Rothmuhl," tj. umieścił całe imię swoje i ojca. Gdy jednak odmówił, policya zdjęła szyld wczesnym rankiem bez wiedzy właściciela, którego oddała pod sąd. Sędzia pokoju skazał p. R. na grzywny, a zjazd m. Warszawy w drodze kasacyjnej uchylił ten wyrok i przekazał sprawę innemu sędziemu, który uznał żądanie policyi za bezzasadne i uniewinnił oskarżonego. Policya zaapelowała do zjazdu, który uchylił wyrok sędziego i skazał p. R. na grzywny. Obrońca oskarżonego, adwokat Kijeński, odwołał się do senatu i podał następujące motywy: 1) Prawo z d. 23 kwietnia 1893 r., na które powołała się policya, wzbrania Żydom używania innych imion, niżeli te, które zapisano w aktach urodzenia, lecz zgoła nie wzbrania pisać jednej litery imienia, skoro niema potrzeby pisać całego. 2) Rothmühl, jak widać z dokumentów sprawy, posiada od r. 1883 wyjednaną prawnie, wedle obowiązujących w Król. Polsk. ustaw, firmę handlową „M. Rothmühl." Firma handlowa czyli ściślej mówiąc, nazwisko handlowe jej właściciela (nom commercial, Handelsnahme) we wszystkich państwach (np. „Allgemeines Deutsches Handelsbuch," a rt. 15) cieszy się opieką prawa jako szczególna wartość, jako własność danej, osoby, przechodząca z rąk do rąk, z pokolenia na pokolenie, stanowiąca przedmiot sprzedaży, spadku itp. Założenie firmy pociąga wreszcie za sobą spełnienie formalności prawnych. Dlatego każda firma ma zasadę spodziewać się opieki i obrony przed wszelkiemi uroszczeniami, które mogą ją na szwank narazić. Tymczasem rozporządzenie policyi, aby zamiast „M. Rothmühl" pisano imię i nazwisko ojca i właściciela firmy, jest, ściśle mówiąc, skasowaniem firmy, czyli, innemi słowy, zniszczeniem własności prywatnej. 3) Prawo z d. 23 kwietnia 1893 r., gdyby je nawet literalnie, w myśl rozporządzenia policyi, można było rozumieć, nie znajduje zastosowania w Królestwie Polskiem, ponieważ treść rzeczonego prawa weszła do IX tomu „Zbioru praw" 1893 r., jako uwaga 3-cia do art. 954. 4) Niezależnie od tych względów, prawo z d. 23 kwietnia wyznacza za niestosowanie się do umieszczonego w niem przepisu karę z art. 1416 kod. kar., czyli że o winie Rothmühla mogą orzekać sądy ogólne, w żadnym zaś razie sądownictwo pokojowe. 5) Nigdzie w przepisach prawa niema wskazówek, co mianowicie ma być obowiązkowo treścią i szyldu zakładów handlowych, policya zatem nie posiada zasady prawnej do wymagania, aby kupiec te lub inne szczegóły umieszczał na swym szyldzie. Kompetencya policyi co do szyldów ogranicza się przestrzeganiem, aby szyldy nie zagrażały niebezpieczeństwem upadku, aby treść ich nie była gorsząca, aby wreszcie nie wprowadzały w błąd publiczności mylnem określeniem zakładu handlowego, któremu służą. Taka, a nie inna kompetencya policyi wypływa z przepisów II tomu „Zbioru praw" analogicznie z art. 41 ustawy cenzuralnej, z przepisami ustawy co do opłat handlowych, wreszcie art. 285 i 286 ustawy o zapobieganiu przestępstwom (t. XIV „Zbioru praw"). 7) W wyroku zjazdu, przy uzasadnianiu prawnej podstawy rozporządzenia policyjnego, podano też takie motywy, które nie mogą się ostać. Tak np. wyrok uzasadnia słuszność żądania policyi co do umieszczenia na szyldzie całego imienia Rothmühla uwagą taką: „pierwsza litera imienia nie daje publiczności pojęcia, czy ma do czynienia z żydem, czy z chrześcianinem; żyd może umyślnie ukrywa żydowskie pochodzenie firmy, co nie byłoby pożądanem ze względów porządku społecznego." Podobne motywy nie godzą się z powagą wyroku i stoją w sprzeczności z zasadniczymi przepisami praw stanu. Niezależnie od tego wyrok zjazdu nieprawidłowo objaśnia znaczenie „firmy," stawiając ją w zależności od rozporządzeń policyjnych. Senat uznał te wszystkie motywy za słuszne i sprawę powyższą umorzył, bez odsyłania jej do ponownego rozstrzygania przez zjazd.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Pracownicy zarządu kolei Dąbrowskiej postanowili utworzyć stypendyum dla niezamożnego ucznia gimnazyum radomskiego, syna pracownika tej kolei.

— W Petersburgu, jak donosi *Syn ot.*, powstaje Towarzystwo, mające na celu popieranie materyalne osób. pracujących nad badaniem bytu plemion obcych zamieszkujących kresy wschodnie państwa.

— P. Daniel Osiris ofiarował Akademii francuskiej kapitał, dający 32,000 fr. rocznej renty, na utworzenie fundacyi, od którego procenty będą co trzy lata wypłacane w sumie 100,000 fr. „za najbardziej godny uwagi wynalazek lub dzieło z ostatniego trzechlecia w dziedzinie nauki, literatury, sztuki, przemysłu, słowem, ze wszystkich gałęzi działalności ludzkiej, służących dobru publicznemu." Ofiarodawca polecił uwzględniać szczególnie „wiedzę chirurgiczną i wogóle lekarską, która dąży do łagodzenia cierpień." W zwykłych warunkach pierwszeństwo do nagrody ma Francuz; jeżeli jednak przyznanie nagrody przypadnie w roku wystawy powszechnej w Paryżu, to fundacya ma przybierać charakter międzynarodowy, czyli że o nagrodę współubiegać się mogą kandydaci wszystkich narodowości.

— Dzienniki petersburskie powtarzają za *Sudeb. gaz.* następujące rozporządzenie naczelnika kraju południowo-zachodniego. „Wobec poważnych trudności, jakie nastręcza władzom administracyjnym konieczność ukrócenia nieporządków agrarnych włościańskich i wobec wysokości grzywien. na jakie mogą być w takich wypadkach skazywani włościanie, pan naczelnik kraju uznał za rzecz niezbędną prosić właścicieli ziemskich, ażeby swojemi rozporządzeniami, skierowanemi ku pogwałceniu słusznych praw gruntowych włościan, nie nastręczali bez potrzeby powodu do nieporządków."

— W Petersburgu powstał „komitet finlandzki," celem usystematyzowania i wyjaśnienia prawodawstwa Finlandyi. Do komitetu wchodzą przedstawiciele wszystkich ministeryów i wyższych instytucyj państwowych, oraz jeden członek z ramienia Finlandyi. Zadaniem komitetu będzie też udzielanie wyjaśnień w sprawach spornych na tle ustawodawstwa finlandzkiego.

Szkoły. We wszystkich szkołach ministeryum oświaty, przy których są warsztaty rzemieślnicze, mają być utworzone muzea rzemiosł, wykładanych w szkole.

— *Peterb. Wied.* zapowiadają, iż programy szkół technicznych kolejowych będą znacznie rozszerzone, termin zaś nauki powiększony.

— Właściciel ziemski gub. Kijowskiej, Narwojsz, zapisał w testamencie 150,000 rb. na urządzenie w m. Złotopolu, w pow. Czehryńskim, szkoły rolniczo-gospodarczej wraz z pensyonatem dla uczniów ubogich.

— Ministeryum oświaty, jak donoszą *Birż. Wied.*, orzekło, że osoby, wstępujące do szkół technicznych średnich, po ukończeniu kursu szkoły profesyonalnej typu niższego, powinny zdawać egzamin ze wszystkich przedmiotów w zakresie kursu 5 klas szkół realnych, nie wyłączając języków nowożytnych i historyi naturalnej.

Prasa. Z uwagi, że dziennik *Siewiernyj Kurjer* od początku wydawnictwa przybrał szkodliwy kierunek, który najmocniej wyraził się w artykułach „Komplikacya życia" i „Kto starszy?", zamieszczonych w nr. 1 i 21, zarządzający ministeryum spraw wewnętrznych postanowił dać mu pierwsze ostrzeżenie.

Wystawy i zjazdy. W kwietniu r. p. odbędzie się w Kanei na Krecie wystawa międzynarodowa pod protektoratem księcia Jerzego greckiego, obejmująca wszystkie działy przemysłu, handlu, gospodarstwa rolnego, środków spożywczych, sztuki, nauk itp.

— Ministeryum rolnictwa przeznaczyło kilka medalów srebrnych na wystawę rybacką w Warszawie.

Przemysł i handel. W ministeryum skarbu opracowano szereg środków, mających zapobiegać rozpowszechnianiu w państwie rosyjskiem sacharyny, używanej zamiast cukru do słodzenia produktów spożywczych. Co do przywozu z zagranicy i sprzedaży w państwie, postanowiono stosować przepisy o środkach silnie działających. Za użycie sacharyny do produktów spożywczych i trunków stosowana będzie kara więzienia od trzech miesięcy lub grzywna 300 rb. Również ustanowiony być ma ścisły dozór nad wyrobem Sacharyny.

— Według nowego projektu ustawy stemplowej, na telegramy osób prywatnych, wysyłane do instytucyj rządowych, będzie nałożona opłata po 50 kop. od depeszy.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego w Kole.

— Mieszkańcy zagłębia dąbrowskiego starali się o pozwolenie na kasę Towarzystwa oszczędnościowo - pożyczkowego w pow. Będzińskim z ogniskiem zarządu w Będzinie. Ministeryum zgadza się na zatwierdzenie kasy, lecz tylko dla Będzina. Największa pożyczka może być wydawana uczestnikowi do sześciorazowej wysokości wkładu obowiązującego, tj. do 600 rb. Dywidenda zaś od udziału nie powinna przewyższać 8% w stosunku rocznym.

— W celu stopniowego przygotowania do wprowadzenia systemu metrycznego miar i wag, ministeryum skarbu postanowiło przedsięwziąć szereg środków, z których najważniejszym jest zaznajamianie ludności z systemem metrycznym drogą szerzenia różnego rodzaju tablic porównawczych z poglądowem przedstawieniem miar metrycznych w porównaniu z rosyjskiemi, z obliczeniem miar rosyjskich w metrycznych i odwrotnie, ze wskazówkami co do cen towarów w przejściu od arszynów i funtów do metrów, kilogramów itp.

Katastrofy. Z New-Yorku donoszą, iż w kopalni Garbonado pod Takorą wybuchły gazy. Zginęło 60 górników.

— Z San-Remo telegrafują, iż w Tunelu koło Albengi zetknęły się dwa pociągi. Wiele osób zabitych i ranionych.

Zmarli. Antoni Kątski, w gub. Niższo-nowogrodzkiej, sędziwy kompozytor i wirtuoz.

— Stanisław Thalgrün, w Warszawie. Wybitny wiolonczelista teatru warszawskiego. Znała go publiczność warszawska, jako solistę z koncertów.

— Jan Naake - Nakęski w Londynie, od lat 35 adjunkt wydziału słowiańskiego w bibliotece *Britisch-Museum*

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. D. Adres Chmielowskiego: Zakopane.

Panu X. Y. Była to praca ciężka, więc nie mogła być dokonana szybko. Obecnie jest już prawie skończona i sprawozdanie z konkursu ogłosimy w pierwszych dniach stycznia.

Panu K. St. w Łodzi. Trudno nam odpowiedzieć na pierwsze pytanie Pańskie, gdyż nie uważamy za właściwe, ażeby dzieci już od 8 roku życia uczyły się systematycznie gramatyki i historyi. Sądzimy, że należałoby tę naukę odroczyć. Jeżeli wszakże ma ona odbywać się koniecznie, radzimy: A. G. Bema: „Jak mówić po polsku?", a historyę Chociszewskiego lub Anczyca. Co do drugiego pytania — żadne.

Prenumeratorce. Droga ta nie wydaje nam się dobrą, gdyż: 1) sprawa mogłaby być przedstawiona tylko w ogłoszeniach, a 2) bez koniecznej dla pożądanego wyniku jasności. Daleko lepszem byłoby: zagrozić oszustowi skargą, a gdyby nie poskutkowało, wnieść ją do jego władzy kolejowej i do prokuratora w Radomiu.

W. F. Są to utwory dość słabe, a przekład chropowaty.

Hacs. Uwzględniając nawet, że jest to pierwszy utwór Pański, musimy mu odmówić wszelkiej wartości.

Pani Buk. w Przemyślu. O Asnyku w swoim czasie pisaliśmy. Rękopis zachowujemy do zwrotu.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

CEL I ZADANIA wychowawcze

S. KARPOWICZA

Cena rb. 1 kop. 20.

KAŻDY PRENUMERATOR

„Tygodnika illustrowanego"

otrzyma bez żadnej dopłaty

co miesiąc tom

Dzieł H. Sienkiewicza

czyli rocznie 12 tomow.

Prenumerata „Tygodnika illustrowanego" wraz z dodatkiem powieściowym w arkuszach i 12-tu tomami dzieł H. Sienkiewicza wynosi: w Warszawie: rocznie rs. 8. Z przes poczt.: kwart. rs. 3, półr. rs. 6, rocznie rs. 12. Za oprawę 12 tomów Sienkiewicza dopłaca [illegible]

WYDAWNICTWA

Księgarni E. Wende i S-ka,

w Warszawie.

Demolins E. **Nowe wychowanie**, przeł. z franc. J. Wł. Dawid —.75 k.

Kucharzewski F.: **Z dziejów techniki** rb. 1—.

Amborski J.: **Zbiorek prawideł wymawiania języka francuskiego** —.20 k.

Nowourządzony zakład fotograficzny

p. f. **W. TWARDZICKI**

przeniesiony z Niecałej 12

na **Nowy Świat 46.**

POEZYE

Władysława Sterlinga

SERYA I-sza, **wyszły z druku.**

Do nabycia w księgarniach.

Gerharta Hauptmanna:

Dzwon Zatopiony — 75 kop.
Hanusia (na wyczerpaniu) — 60 kop.
Woźnica Henszel — 60 kop.
Kolega Crampton — 60.

Maurycego Maeterlincka:

Księżniczka Malena — 75 kop.

Johna Ruskina:

Malarstwo i Poezya — 50 kop.

Wydawnictwo Władysława Okreta.

H. Riegel dawniej H. Olawski

Księgarnia i Skład obrazów

w Warszawie, Mazowiecka nr. 6,

poleca następujące dzieła naukowe:

Guillemin A.: **Siły przyrody.** Popularny wykład fizyki. Wytworne dzieło 1200 str. duży format, 625 drzeworytów, 15 tablic kolor i czarne. Zamiast 7,40 Rs. 3.50

Geografia popularna z rycin. i mapami. 2 tomy 1663 str. Zam. 7,95 Rs. 3.—

Mały Brehm. Życie i obyczaje zwierząt, 260 figur na 24 tabl. kolor. Rs. 2,50 z oprawą Rs. 3.—

Hayek G. **Atlas zoologii, botaniki i mineralogii na 120 tablicach in folio z tekstem.** W ozdobnej czerwonej oprawie, zamiast 22 Rs. 16.—

Podręczniki do nauki języków obcych dla samouków metody Dr. H. Loewego **Język francuski** 1.50, Język niemiecki Rs. 1.—

Słownik kieszonkowy. Francusko-Polski i Polsko-Francuski, 1200 str. 1,50 z oprawą Rs. 2.—

Młoda gosposia. Tom I. **Poradnik kucharski i kuchnia dla chorych,** 860 st., w oprawie Rs. 1 50. Tom II. **Ciasta,** soki, konfitury, 360 str. Rs. 1.—

Powieści Montepin'a: Podpalaczka (Roznosicielka chleba) i Walka o miliony. 46 zeszytów po 15 kop.

Margrabina Pompadour, czyli Ludwik XV i dwór jego. Powieść historyczna bardzo zajmująca. 40 zeszyt. po 10 kop.

Katalog szczegółowy bezpłatnie.

Tanie wydanie!

Wiktor Hugo: NĘDZNICY

10 tomów broszurowanych **1 rb. 80 k.**, w ozdobnej oprawie **2 rb. 50 k.**, z przesyłką o **30** kop. drożej.

Do nabycia we wszystkich księgarniach. Nakład księgarni **S. Bukowieckiego**, Marszałkowska 100, która również **wysyła na prowincyę** wszelkie książki i nuty po cenach **katalogowych** oraz **przyjmuje prenumeratę** pism **po cenach redakcyjnych**, tak za gotówkę, jak i za zaliczeniem pocztowem.

Wydawnictwa „Prawdy"

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ołożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika.** tłom. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne,** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3.

Huxley—Rosenthal. **Zasady fizyologii** — rs. 2.

H. Posnett **Literatura porównawcza** rs. 2.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie [illegible]

Prof. R. Falkenberg. **Historya filozofii nowożytnej**, w przekładzie W. M. Kozłowskiego — rs. 2 kop. 40.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — kop. 40.

N. Hirszband. **Byron w urywkach,** kop. 50.

K. Lewald. **Historya XIX w.,** od r. 1800—1888 — rs. 3. k. 30.

M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej,** tomów dwa — rs. 2.

Dr Med. L. Wolberg. **Psychologia dziecka** — rs. 2. Egzemplarze oprawne o 20 kop. droże.

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.,** tomów cztery. tł. K. Lewald — rs. 6.

Encyklopedya dla dzieci (ilustrowana). Cena zniżona rs. 1 k. 50 Egzemplarze oprawne o 20 kop. drożej.

Dr. J. Dallemagne. **Człowiek zwyrodniały** — rs. 2.

A. Maksimow. **Syberya i ciężkie roboty,** tłom. Z. Pietkiewicz. Część I Nieszczęśliwi — rs. 1. kop. 20. Część II Winni i oska żeni — rs. 1 k. 20.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

PROSPEKT NA ROK 1900.

„GAZETA POLSKA,"

CODZIEŃ GAZETA.
Co tydzień książka.
COROCZNIE 52 tomy.

PISMO CODZIENNE

z Tygodniowym Dodatkiem Książkowym.

Wychodzi w Warszawie

przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich.

Codzień Fejleton (nauka, sztuka, literatura, sprawy społeczne).
200 korespondentów w kraju i za granicą.
Telegramy od korespondentów własnych i od Agencyi.
Dział handlowo - ekonomiczny.
Odpowiedzi prenumeratorom na wszelkie zapytania.
Każdy prenumerator **Gazety Polskiej** otrzymuje jako bezpłatny do niej dodatek:

Bezpłatny | **Corocznie 52 TOMY DARMO.** | **Dodatek.**

co tydzień książkę, czyli corocznie 52 tomy książek bezpłatnie.

W roku 1900 wyjdą w dodatkach dzieła *Henryka hr. Rzewuskiego, K. Chłędowskiego, A. Dygasińskiego, A. Gruszeckiego, W. Kosiakiewicza, Wal. Łozińskiego, Ostoi, Wł. Reymonta, St. M. Roguskiego, St. Iwanickiego, W. Hugo, Walter Skotta, Goethego* i wielu innych pisarzy.

W wyborze dzieł do dodatków bezpłatnych **Gazety Polskiej** biorą udział pp.:

Zygmunt Gloger, K. Kaszewski i Ign. Matuszewski.

CENA „GAZETY POLSKIEJ" wraz z Bezpłatnym Dodatkiem Tygodniowym: **W Warszawie:** Rocznie 9.60; półrocznie 4.80; kwartalnie 2.40; miesięcznie kop. 80. Z odnoszeniem do domów.

Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 12; półrocznie rb. 6. Kwartalnie rb. 3.

Redaktor i wydawca **Jan Gadomski.**

Adres: Warszawa, Warecka 14.

Nakładem ***Przeglądu Filozoficznego*** wyszło dzieło:

W. L. Sheldona p. t. Ruch Etyczny.

1. Znaczenie Ruchu Etycznego.
1. Co znaczy być religijnym dla idealisty etycznego?
3. Obowiązek ze stanowiska tego, kto czyni zeń religię swoją.
4. Jak zachowywać się powinniśmy w stosunku do wierzeń religijnych innych?
5. Jakie znaczenie nadają wyrazowi „Bóg" ludzie rozmaitych zapatrywań?
6. Chrystus „etyczny."
7. Spuścizna stoików dla ludzi dzisiejszych.
8. Czy wzniosłe postępowanie przynosi w przecięciu największe szczęście?
9. Znaczenie poezyi dla tych, którzy pragną „żyć w duchu."
10. Metody duchowe kształcenia siebie.
11. Małżeństwo w świetle nowego idealizmu.
12. Rodzina. Czy może etyka udoskonalić ją lub zastąpić czem innem?
13. Prawo i Rząd; dlaczego powinniśmy szanować je?
14. Ideały społeczne oraz ich znaczenie dla idealisty etycznego.
15. Trudność dla idealisty obrania stronnictwa w kwestyach bieżących.
16. Na jakiej podstawie może etyka usprawiedliwić własność prywatną?

Cena rb. 2 kop 50.



BIURO BANKOWE

„Gazety Losowań,"

Krakowskie - Przedmieście, № 53.

Kupno i sprzedaż papierów publicznych, monet i banknotów. — Asekuracya Pożyczek Premiowych.

Przekazy na Królestwo, Cesarstwo, zagranicę i miejscowości lecznicze. — Zaliczenia na papiery publiczne. — Dyskonto. Inkaso.

Oprocentowanie kapitałów. $4^1/_2\%$ na każde żądanie, 5 do 6% za terminowem wypowiedzeniem.

Codziennie od 9-ej rano do 7-ej wieczorem.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Декабря 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.